



Cena--USA- \$ 1-Pl -4000 zł • UK- 50 p- 3 Ruble

Pryzmat

• Pismo polskie nie tylko dla Polaków •

Mińsk 15. I. 1993
Numer siódmu
jest fundowany
przez
przyjaciela,
który prosił
o anonimowość

Wybryki niesławnych urzędasów

Jest to kardynalne zaniedbanie władz Białorusi, że nie zostali posłani na emerytury wszyscy urzędnicy do spraw wyznań i nadal zaśmiecają i zasmradzają swą obecnością proces demokratyzacji na Białorusi.

W listopadzie urzędnicy z Grodna postavili na ostrzu noża sprawę wywieszenia herbów Polski i Białorusi, oraz barw obu tych krajów w kościele pod wezwaniem Królowej Polski w Rohoźnicy.

Dali ustne ultimatum komitetowi kościelnemu: albo zdjęcie te symbole albo wyrzucamy księdza z Białorusi.

Komitet zrobił błąd, że ustąpił. Oczywiście nie trzeba nikomu przypominać, że to działanie jest sprzeczne z Traktatem o dobrosąsiedzkich stosunkach między Polską, a Białorusią.

Ale to nie wszystko. W Radiu rejonowym w Mostach od paru lat z okazji różnych świąt występowali lokalni prawosławni księża, i to kilkakrotnie.

Nikt z władz rejonowych w Mostach nie sprawdzał tych audycji- słowem nie było żadnej cenzury.

W grudniu u.r. Pan Ryszard Sałata prowadzący radio poprosił księdza Krzysztofa Karolewskiego z Rohoźnicy o nagranie audycji związanej z tradycją i obyczajami świąt Bożego Narodzenia. W audycji brała udział dziecięcy chór z Rohoźnicy, który odśpiewał cztery polskie kolędy. Takiej audycji związanej z katolickimi świętami Bożego Narodzenia jeszcze w tym rejonie nie było, mimo, że jest on bardzo polski i jest więcej katolików niż prawosławnych.

Program ten został nagrany 21 grudnia w studio w Mostach i był zapowiadany przez radio. Wiadomość ta szybko rozeszła się wśród wiernych i była z niecierpliwością oczekiwana. W dzień, przed nadaniem audycji Pan Antoni Bylicz, z-ca kierownika Urzędu Rejonowego, bez przesłuchania tej audycji i nie dając żadnej motywacji zabronił jej nadania.

Dziennikarz rozmowę z Panem Byliczem nagrał na taśmie magnetofonowej. Pan Bylicz nie tylko, że nie dał prawnej motywacji zakazu nadania audycji, ale jeszcze próbował straszyć redaktora.

Wierni w dzień Bożego Narodzenia, o godzinie, o której audycja miała mieć miejsce, na próżno czekali gdyż audycja nie została nadana.

Po świątach udały się dwie delegacje Związku Polaków na Białorusi do Pana Bylicza, z zapytaniem na podstawie jakiego prawa zakazał on nadania tej audycji.

Pan Bylicz nie tylko, nie dał im żadnego wytłumaczenia ale jeszcze delegacje obrażał, krzycząc na nich - jakie wy Polaki, wy tylko spolszczeni Białorusini.

To też jest udokumentowane zapisem na taśmie magnetofonowej.

Czy jest to dalszy przykład samowoli małych kacyków? W Mińsku nikt nikomu audycje czy artykuły nie cenzuruje. Jest to sprawa redakcji co puszcza, czy zatrzymuje.

Tu jednak taki "wielki człowiek" nawet bez sprawdzenia co tam w tej audycji jest wydał samowolnie zakaz i ulotnił się. Wszelkie z nim rozmowy już 26 grudnia nie dały rezultatu i audycja w okresie świąt nie poszła w eter.

Jak mnie poinformowali wierni, to nie pierwszy wyskok Pana Bylicza. Jeszcze 4 lata temu chciał kościół w Strubnicy zamienić na muzeum, a gdy to się mu nie udało próbował go rozebrać. Sprzeciwiał się też jesienią 1990 roku otwarcia kościoła w Pieskach.

Jeśli wobec Pana Bylicza nie zostanie wyciągnięte konsekwencje służbowe za jego ostatnie wybryki to będzie to oznaczało, że działał w pełnym porozumieniu z ewyższymi instancjami władzy, że to nie wyskok małego człowieczka z Mostów, a celowa akcja sterowana z Mińska.

W stolicy Białorusi udaje się, że wszystko cacy puszcza kolędy po polsku i przemówieni apolskie biskupów, a wydaje się że w terenie z dala od wielkiego świata mali urzędnicy mają polecenia kopać katolików jak za dawnych dobrych lat komuny.

Alexander Pruszyński

PS: Jak ostatnio dowiaduje się, ZPB z Mostów skierował protest w tej sprawie do najwyższych władz Białorusi z komi do Ambasady RP w Mińsku

Polski wkład w zwycięstwo w II Wojnie Światowej

Kiedyś, jeszcze z Polski, wysłałem do Kazachstanu książkę o walce polskich lotników w na Zachodzie.

Dostałem bardzo miły list z podziękowaniem i okazało się, że dla tamtejszych rodaków było zaskoczeniem, że polscy lotnicy walczyli nawet w Anglii i tam im wystawiono pomnik.

Nadal większość tutejszych rodaków nie ma pojęcia o polskim wkładzie w zwycięstwo Aliantów czyli koalicji antyhitlerowskiej.

Nie tylko walczyliśmy na wszystkich frontach od Norwegii, Francji, Egiptu, Libii, Włoch ale przyczyniliśmy się jeszcze innymi drogami do zwycięstwa.

Teraz o tym wspominam, a potem będziemy obszerniej o nich osobno pisać.

Największym naszym osiągnięciem było odtworzenie niemieckiej maszyny do szyfrowania depesz radiowych. Operacja ta znana jest na Zachodzie pod mianem Enigma i opisana szeroko.

Model tej maszyny przekazano już 25 sierpnia 1939 roku Anglikom. Potem jeszcze polscy szyfranci dopracowali wszystkie dane do tego stopnia by na Zachodzie mogli odczytywać każdą tajną depesze szyfrową Niemców.

Dzięki Polakom można było też odczytywać tajne depesze Japończyków, którzy posługiwali się podobną maszyną na Dalekim Wschodzie.

Czy bez tego byłoby pewne zwycięstwa Aliantów, zarówno na Zachodzie jak i na Dalekim Wschodzie?

Na marginesie tego warto podać nieznaną fakt.

Z odczytania depesz niemieckich wynikało, że Molotow latem 1942 roku wjechał na cały dzień 200 km na teren zajęty przez Niemców.

Jakie tam poszły rozmowy dotąd nie jest znane.

Skonstruowanie przez polskiego inżyniera w Anglii wykrywacza magnetycznego min.

Na pierwszych modelach tego urządzenia zastosowanego przed bitwą o El Alamein w Libii był nawet napis:

"Polish Patent"

Wywiad AK dostarczył Aliantom bardzo wiele ważnych informacji. Najważniejszymi było rozpoznanie przygotowania do wystrzelenia rakiet V1 i V2. Zdobyto nawet jeden egzemplarz takiej rakiety i przekazano główne jej części do Londynu samolotem, który specjalnie po niego przyleciał do Polski.

Dzięki temu zbombardowano wytwórnię tych rakiet w Penemunde koło Szczecina i opóźniono użycie tej broni o dziewięć miesięcy.

Operacja ta jest opisana w książce Martina Middlebrook-a, której tłumaczenie ukazało się w Warszawie pod tytułem: "Nalot Na Penemunde", W redakcji posiadamy tą książkę i możemy ją komuś udostępnić. c.d. str 8

Czy Litwa dokonała wyboru?

Czwartego września, szesnaście miesięcy temu, po złamaniu puczu w Moskwie i przyznaniu Litwie Niepodległości Litwini wzięli się ochoczo do Polaków.

Rozwiązali demokratycznie wybrane lokalne Rady Narodowe i wprowadzili Zarząd Komisaryczny na Wileńszczyźnie.

Związek Polaków na Litwie zwołał wtedy wiec w podwileńskim Niemenzynie.

Mimo, że Kurjer Wileński odmówił umieszczenia komunikatu o tym zebraniu tam z pięć tysięcy rodaków.

Kluczowym było wystąpienie piszącego te słowa, który jako obywatel Kanady mógł otwarcie powiedzieć to co zebrani mieli na sercu, a bali się powiedzieć w obawie przed represjami.

Powiedziałem wtedy:

Panie Landsbergis, Pan i Litwa ma wybór, albo dacie tutejszym Polakom, to co ma mniejszość Szwedzka w Finlandii lub Polacy będą się domagać plebiscytu za przyłączeniem Wileńszczyzny do Białorusi.

Jak bardzo me słowa trafiły w przekonanie zebranych były brawa i odśpiewanie mi Sto Lat.

Szesnaście miesięcy mija od tego momentu. Zachowanie Litwinów względem Polaków było od tego czasu coraz gorsze i nie zmienia się między innymi dlatego, że Polska kadzi Litwinom, którzy są przekonani, że każda podłość względem tamtejszych Polaków zostanie im "wynagrodzona".

Polska nie ma "Polityki Wschodniej". Nie jest to wina nie tyle Prezydenta czy Ministra Skubiszewskiego. To wina późno nawrzuconego komucha prof Bronisława Geremka.

Przez szesnaście miesięcy Prezydent Landsbergis i jego Rząd miał 500 dni do zrobienia czegoś dla Polaków.

A co zrobił? Nic. Czy nastąpiły zmiany po wyborze nowego Parlamentu?

Treaz czas na akcję, czas na wymuszenie na Litwie zorganizowania pod patronatem ONZ-u referendum.

Czas jest też zacząć pertraktować z Białorusią nad warunkami na jakich by Wileńszczyzna włączyła by się do swego południowego sąsiada.

Alexander Pruszyński
Mińsk 4 stycznia 1993

PS: Litwa ma nowy Parlament i zapewne nowym Prezydentem będzie były I Sekretarz KC Kom Partii Litwy. Dajmy Mu sto dni.

Czy pokaże, że jest bardziej rozumny niż jego poprzednik Witold Maluśki-Landsbergis

Chciałbym podziękować dziennikom : *Gazecie Wyborczej*, *Izwestia* i *Narodna Gazeta*, które opublikowały artykuły informujące swych czytelników, że pragnę ubiegać się o stanowisko Prezydenta Republiki Białorusi.

Odgadły one moją koncepcję brania czynnego udziału w życiu politycznym Białorusi, umocniły ją jeszcze i dodały dopingu, abym wystąpił z deklaracją ubiegania się o fotel Prezydenta Białorusi.

Pragnę też podziękować Pan Stanisławowi Tyminskiemu, który wykazał, że nieznaną człowiek z dobrym programem, może zagrozić wielkim autorytetom i nawet dać przykładowe manto urzędującemu Premierowi.

Chce też podziękować Panu Leszkowi Moczulskiemu wodzowi Konfederacji Polski Niepodległej, który powiedział do mnie w czerwcu w 1981 roku:

- Nie jest ważne kto zdobędzie dla Polski Niepodległość, czy KPN, czy ktokolwiek ale ważne jest by tę Niepodległość zdobyć -

- Podobnie jest na Białorusi, nie ważne, kto ale, by na Białorusi zakwitł

dobrobyt i demokracja,

Ważne jest by rzeczywiście to nastąpiło.

W wyniku zmiany granic w Jalcie i Poczdamie mój dom rodzinny w Rohożnicy koło Wołkowyska znalazł się na Białorusi, a nie w Polsce jak był do 1939 roku.

Zmiany jakie nastąpiły w 1989 r., umożliwiły mi, po prawie 17 latach odwiedzenia Polski, a potem stron rodzinnych.

To co ujrzałem, mimo wszystko wydało mi się **pozytywne** i postanowiłem w rodzinne strony, na Białoruś, powrócić na stałe,

O swej decyzji poinformowałem pewnego dostojnego gentelmena na Placu Czerwonym w Moskwie 8 maja 1991 roku. W rok potem wróciłem na stałe i stworzyłem w Mińsku własne pismo "Pryzmat".

Wracając, postanowiłem włączyć się całą siłą w odbudowę Białorusi, której częścią jest ziemia mego dziadka i mój dom rodzinny w Rohożnicy.

Okazało się, że nieświadomie robie to co chciał zrobić jeszcze przed wojną mój Ojciec Ksawery Pruszyński, który napisał w 1933 roku :

- jestem człowiekiem, który chce powrócić na Ukrainę, gdy tylko to będzie możliwe, gdy tylko to będzie można i doprawdy nie po to, by odebrać chłopom ziemię, ale dlatego, by wziąć najczynniejszy udział w życiu Ukrainy i całą siłą swej pracy, nabytej wiedzy, zdolności rzucić się we właściwym kierunku, by nawiązać tak silną współpracę narodów i państw, że nie nie byłoby w stanie jej rozzerwać.

Nie jest to program, ale jest to wiara.

Mój Ojciec nie dożył czasów, gdy ten program mógł być realizowany. Jestem szczęśliwszy, takich czasów dożyłem, z tą różnicą, że ja jestem związany z Białorusią, a nie jak On z Ukrainą.

Zastanówmy się teraz, co jest najważniejsze dla mieszkańców dzisiejszej Białorusi - Białorusinów, Polaków, Rosjan czy Ukraińców ?

Najważniejsze jest, by krok po kroku życie ich było coraz lepsze, by na tej ziemi zakwitł

Dobrobyt i Demokracja.

Te dwa słowa postanawiam wziąć jako hasła mej kampanii wyborczej.

Będę szukał wszystkich dróg realizacji tych dwóch haseł, bo właśnie jest to, na co mieszkańcy tej ziemi czekają od bardzo, bardzo dawna.

Dzisiaj jeszcze nie wiadomo kiedy nastąpią wybory nowego Prezydenta Białorusi, jakie będzie miał on prerogatywy, jaką władzę i jak On będzie wybrany, czy wogóle będzie taki urząd.

Jednak sam fakt, że ktoś staje do wyborów na Prezydenta powoduje, że tego człowieka będą inni słuchali lepiej, bardziej poważnie, niż gdyby ten sam człowiek mówił równie mądre i słuszne rzeczy jako osoba prywatna.

To jest prawdziwy powód, że staję teraz przed obywatelami Białorusi, bo robiąc to mogę przedstawić program, który jeśli ma sens, niech inni zechcą go "kupić", "przyswoić" a jeszcze lepiej udoskonalić i podać za swój, czy pod własną flagą przemycić i realizować.

Podejmując taką decyzję powoduje, że dopinguje innych do kandydowania i przedstawienia swych programów.

Walka programów udoskonali je. Ponad to znając, że jestem kandydatem pewni ludzie będą mogli zgłaszać się ze swymi pomysłami, często bardzo dobrymi, które nikt nie chciał dotąd słuchać. Ci ludzie

Dobrobyt i Demokracja

Deklaracja Programowa Kandydata na Prezydenta Republiki Białoruś

pomogą mi stworzyć naprawdę dobry i odpowiedni dla Białorusi program, ci ludzie pomogą mi stworzyć partię polityczną, która powinna się zwać:

Białoruś Dobrobytu i Demokracji

Jak mówił wiele lat temu Leszek Moczulski, istotne jest zdobycie przez Polskę Niepodległości.

Podobne znaczenie dla Białorusi, ma danie swym obywatelom

Dobrobytu i Demokracji

Ten co do tego doprowadzi zapisze swe nazwisko złotymi literami w historii Białorusi.

Podczas kampanii wyborczej Prezydenta Clintona jeden z dziennikarzy napisał, że by być Prezydentem jakiegoś państwa trzeba mieć trzy kwalifikacje :

• **mieć wizję dokąd ma**

zdażać to państwo

• **być wiarygodnym**

• **potrafić, pogodzić sprzeczne interesy poszczególnych grup społecznych czy zawodowych**

Śmiem twierdzić, że spełniam te trzy kwalifikacje

Przez dwadzieścia lat mieszkałem w Kanadzie kraju uznanego przez Organizację Narodów Zjednoczonych za **najlepszą demokrację w Świecie.**

Ponad to Kanada ma jedną z najwyższych stop życiowych, a w Polsce - Kanada to synonim

dobrobytu.

Jestem jedynym na Białorusi zajmującym się sprawami publicznymi, który z własnego doświadczenia wie, jak funkcjonuje państwo znane z

dobrobytu i demokracji

Wiem co warto z Kanady tu przynieść, a czego jednak nie należy kopiować, bo w żadnym przypadku nie chciałbym, by Białoruś była dominowana przez jakiegokolwiek państwo jak jest dominowana dzisiaj Kanada przez USA.



Czy jestem wiarygodny ?

Dotąd nie złapano mnie na kłamstwie. Bardzo bym nie chciał, by coś takiego się stało. To co dotąd proponowałem, miało sens ale nie zostało przez obecne władze zrealizowane.

Mam też taką przewagę nad wszystkimi innymi potencjalnymi kandydatami, że nie musiałem jak, oni, deklamować komunistyczne banaluki.

Najtrudniejszym zadaniem będzie jednak nie wygranie wyborów, ale pełnienie roli głowy państwa.

Od Prezydenta wymaga się nie tylko prowadzenia kraju, ale co najważniejsze pogodzenie, często przeciwnych interesów poszczególnych części społeczeństwa.

Przywódca pochodzący z jednej mniejszości narodowej, może łatwiej doprowadzić do ugody zawaśnionych stron i scementować państwo. Wie on, co danej narodowości potrzeba, a zarazem jako wódz całości zna granice ugoły, co całość państwa może tej, czy innej grupie dać i co jeszcze, nie doprowadzić do bardziej poważnego kryzysu.

Tak właśnie postąpił Premier Trudeau w Kanadzie. Za jego kadencji wprowadzono politykę

wielokulturowości, która wzmocniła Kanadę, a zarazem jako Francuz z Quebecu był w stanie zaspokoić żądanie Francuzów tak, by nie przeciwstawiali się władzom ogólnokanadyjskim.

Pierwszym elementem mego programu jest przekonanie obywateli, że są prawdziwe szanse podniesienia poziomu życia, że potrzeba im choć trochę optymizmu. Zrozumienia wreszcie, że nie można czekać na to, by Prezydent, Premier, Rząd czy wojewoda za nich myśleli. Jest wiele spraw, które Wielcy nigdy nie dojrzą, a widzący to poszczególni obywatele powinni usprawnić.

Dalej chcę się zająć sprawą budownictwa mieszkaniowego.

Ile dziś młodych par nie ma swego konta, ile młodych małżeństw mieszka z dziećmi u rodziców lub w jednym pokoju na "przeżyciu" w jakichś fabrycznych internatach ?

Wedle pobieżnych informacji 330 000!!!

Jest to zastraszające.

Dla tych ludzi dobrobyt, to po pierwsze uzyskanie przez nich własnych mieszkań.

Co więc proponuję :

Trzeba wszystkie mieszkania sprzedać TANIO ich lokatorom. Należy je rozsprzedać, podobnie jak zrobiła Premier Tchatcher w Anglii z mieszkaniami w domach będących własnością rządu.

Ponieważ wartość rubla stale spada proponuję wyznaczyć cene mieszkań w dolarach. Kształtować ona powinna się :

- po \$ 50 za mieszkanie jednopokojowe z kuchnią, \$ 100 za dwupokojowe, \$ 160 za trzypokojowe, mieszkania czteropokojowe powinny kosztować \$ 400, a pięciopokojowe \$ 600.

Natomiast mieszkania w centrum Mińska znajdujące się do 300 metrów od linii istniejącej czy budowanej metra powinny być o 100 % droższe, bo mają oczywiście większą wartość.

Stawki te są bardzo niskie w stosunku do wartości mieszkań, ale są jednak wysokie w stosunku do zarobków lokatorów.

Dla części ludzi spłacenie nawet tak niskich stawek za mieszkanie będzie kłopotliwe. Dla nich można rozłożyć spłatę na cztery lata, ale wtedy wysokość spłaty zostanie podniesiona o 30%, by zachęcić każdego lokatora, aby nie zwlekał z wykupieniem mieszkania.

Kto zaś wykupił mieszkanie odprzeda w ciągu pięciu lat będzie musiał na rzecz funduszu mieszkaniowego wnieść opłatę:

- w wysokości 300% od sumy za jaką wykupił mieszkanie w przypadku mieszkań 1-3 pokojowych
- 500% w przypadku mieszkań 4-6 pokojowych.

Nie jest tak ważne, ile państwo teraz za nie dostanie, ale ważniejsze jest to, by umożliwić ludziom przejęcie tych mieszkań na własność i dbanie o nie jak o własne.

Od tej pory utworzone przez właścicieli mieszkań spółdzielnie mieszkaniowe przejmują administrację nad poszczególnymi domami i całymi osiedlami. Na ich barkach spoczną też oczywiście remonty i konserwacje domów. Nowe utworzone przez lokatorów spółdzielnie mieszkaniowe, powinny być spółdzielniami jednego czy kilku domów lub całych osiedli.

W ten sposób wreszcie będzie ktoś odpowiedzialny za stan utrzymania tych domów, ich konserwację i czystość.

Poszczególne spółdzielnie mieszkaniowe wyznaczają **samę** czynsz za mieszkania, który będzie obejmował koszt oświetlenia, utrzymania czystości i konserwacji poszczególnych domów czy całych osiedli.

Ludzie, którzy nie wykupili swych mieszkań będą musieli ponosić te same koszty plus 50%.

Uzyskane fundusze ze sprzedaży mieszkań podzieliłbym na trzy części :

- jedną część środków przekazałbym radom miejskim na remonty ulic, chodników,
- drugą część przeznaczyłbym na pożyczki dla budujących nowe mieszkania,
- trzecią część zaś na sprowadzenie nowych technologii budowlanych z Zachodu, a zwłaszcza z Kanady.

W szeregu miastach, a zwłaszcza w Mińsku jest wiele domów, gdzie można by dobudować jedno czy dwa piętra. Szczególnie będzie to możliwe gdy sprowadzimy taną i lekką technologię kanadyjską, która zdaje doskonale egzamin w klimacie podobnym do białoruskiego

Oto elementy mego programu, za parę tygodni dam dalsze jego punkty.

Alexander Pruszyński • Mińsk • 12 stycznia 1993

Kpiny z Parlamentu

Rada Najwyższa uchwaliła Ustawę o Mniejszościach Narodowych. Gdy chcieli przedstawiciele Związku Polaków na Białorusi dostać ten dokument dowiedzieli się, że jest w "redakcji".

Jest to zadziwiające. Jacyś urzędnicy uzurpują sobie prawo do "korekty" uchwalonej przez parlament Ustawy.

W normalnym demokratycznym kraju, gdyby jakiś urzędnik usunął nawet jedną kropkę w takim dokumencie to by nie tylko wyleciał karnie z posady ale by miał sprawę sądową i odsiedział by sporo lat za fałszowanie prawa.

Białoruś to jeszcze nie zachodnia demokracja ale Panowie Posłowie powinni zwrócić na ten proceder uwagę bo to kpiny nie tylko z prawa ale Was osobiście.

PS: Ostatecznie okazało się, że tekst jest pełen wad i co najgorsze niezgodny z umowami międzynarodowymi, które Białoruś podpisała i ratyfikowała.

Kto ma to załatwić

Pietnastego grudnia podniesiono znów opłaty za rozmowy telefoniczne. Z Białorusi do Polski kosztuje już 145 ruble, do Litwy za, 70. Za rozmowy do Anglii, Francji i Zachodniej Europy płacimy dokładnie tyle samo.

Czy nie jest to jawna dyskryminacja kontaktów Białorusi z Polską?

Pytam się raz jeszcze. Potem będę tych co nie podejmą na ten temat żadnej akcji "głaskał"?

Pole do współpracy czy walki o wpływy?

Na polskim rynku działają chyba dotąd równolegle dwie mafie, byłego Sojuza i oryginalna Sycylijsko-Zachodnia. Jedni i drudzy przekupują, handlują i załatwiają co tylko im się opłaca.

Czy doszło już do ich współpracy czy będą walki o podział wpływów? Zapewne też włoska mafia będzie chciała wejść na rynek byłego Sojuza i co z tego wyniknie.

Granice ekumenizmu

W Moskwie pewien dobrze wykształcony młody Pop poczuł miętę do pewnej katolickiej. Dziewczyna była ładna, miła i nawet już "z przychówkiem". Wzieli ślub jak się patrzy, ale jej na prawosławie przechodzić się nie kwapiło.

To się wcale nie podobało prawosławnej hierarchii młodego żonkosia odstawiono od parafii by nieco skruszał, a raczej doprowadził żonę do skruszenia i przejęcia na "prawowitą wiarę".

Ale na tym nie koniec. Ponieważ Papież dla przechadzających na wiarę katolicką anglikańskich księży wprowadził dispense od celibatu więc też ten Pop może przejść na katolicyzm i zostać księdzem. A prawosławnym będzie...

Anastazja ciąg dalszy

Już od czterech lat brak prasy polskiej w Mińsku więc ciekawostki z Warszawy trafiają tu jak za doźbrych czasów przez...Moskwę. Niezbyt miłująca mnie Gazeta Wyborcza napisała, że szykuje się walczyć o fotel Prezydenta Białorusi. Mineło dwa miesiące i ta wiadomość by nie dotarła na Białoruś gdyby ktoś mi "przyjazdny" nie podrzucił jej Izwiesti, z której już Narodna Gazeta nie miała trudności jej przepisania.

Teraz w Warszawie przeszła burza, a może mały cyklon, o którego początkach wspomnieliśmy parę miesięcy temu. Burza o nazwie Anastazja. Okazuje się, że panienska używająca tego pseudonimu nie tylko naciagała posłów na pożyczki ale też rozdzielała co bardziej interesującym posłom swe wdzięki. Była przy tym neutrala, dawała swej d... bez zmrżenia oka byłym komuchom jak też "cnotliwym" chłessejanom.

Potem zniknęła i wzięła się do roboty. Przy pomocy trzeciorzędnego dziennikarza wydała swe pamiętniki, które zrobiły furorę. Wymienionych z nazwiska i

imienia było tam sporo ale najgorzej wyszła na tym opinia o wszystkich posłach.

Niektórzy twierdzą, że ta dama była podstawiona. Jedni wskazują na KGB, inni obwinają to wywiad niemiecki, a inni izraelski Mosad, który w Polsce poczyną sobie jak we własnym graju.

Jaki z tego morał? Posłowie też ludzie i jak na całym świecie chcą mieć jakieś rozrywki. Fakt jednak, że ta sprawa nie dotarła tutaj majędną dobrą stroną. Nie przypominano posłom, że i tu może się zjawić uroczna Anastazja, będzie ochotczo dawała, a potem wyda książkę i opíše z szczegółami jakie, który poseł jak działa w łóżku.

Niewinny Stalin

Przebywający na emigracji były oficer KGB używający pseudonimu Suworow ujawnił ostatnio, że Stalin zmasował nad Bugiem znaczne siły bo miał zamiar uderzyć na Niemcy dokładnie 6 lipca 1941 r.

Ta teza wydaje się być bardzo prawdopodobna, bo niepotrzebnie dużo było wojska nad granicą. Dzięki swemu atakowi Hitler pozbawił Stalina szansy zrobienia sobie ku-ku. Stalinowi jednak udało się zachować swe plany w tajemnicy by uchodzić, zwłaszcza na Zachodzie, jako niewinny i nie napadnięty przez... szakala.

Sprawa obywatelstwa

Spotykam coraz więcej osób, które podobnie jak ja chcą przyjąć obywatelstwo białorusi, ale utrzymać swe dotychczasowe polskie. Coraz więcej jest mieszanych małżeństw polsko-białoruskich i podobnie rosyjsko-białoruskich. Ktoś kto żyje tu nie posiadając obywatelstwa jest w złym położeniu i nie wiąże go to z krajem, w który powinien wrastać z dnia na dzień. Wydaje się, że będzie trzeba wziąć się raz do obalania klauzuli jednego obywatelstwa, im wcześniej tym lepiej.

Równocześnie Zjazd Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich zaapelował do Prezydenta Lecha Wałęsy aby wszyscy Polacy, którzy mieli obywatelstwo polskie do 1939 roku i ich potomkowie potrafili teraz jego potwierdzenie czyli polskie paszporty.

Co ciekawe ich koledzy, którzy mieli szczęście wyjść z Sajuza z Armiągen Andersa, a teraz mieszkają na Zachodzie dostają bez większych ceregieli polskie paszporty.

Warto poszukać

Napewno jeszcze w niejednym domu na Białorusi są gdzieś schowane stare przedrewolucyjne ruble papierowe. Są one sporo warte na Zachodzie. Te większe banknoty, zwłaszcza 500 rublowki z Katarzyną oprawiane są w ramki i wieszane jako dekoracje, a inne są poprostu zbierane przez kolekcjonerów.

Cnota nie zaraża

Coraz więcej jest przypadków ludzi chorych na AIDS i coraz więcej pisze się na ten temat. Już jedst na świecie chorych 2 000 000. Szczególnie AIDS jest plagą w kilku krajach Afryki jak Malawi, Rwanda, Tanzania i Uganda. Tam przyczyni się ona niezadługo do gwałtownego spadku ludności.

Co się jednak nie pisze to, że 99% zarażeń następuje przez seks pozamałżeński. Warto by więc popularyzować hasło "cnota nie zaraża".

Dyskusja z analfabetą

Ostatnio trafiłem na młodego Białorusina, doskonale mówiącego po angielsku i zaczęła się rozmowa na temat problemów Polaków na Białorusi.

Gentelmen ów tchnął nienawiścią do księży polskich i stwierdził, że 75 % katolików na Białorusi jest.... Białorusinami !!!

Nie wiem ilu jest katolików Białorusinówi ale 90% Białorusinów w Polsce jest Prawosławnymi. Jakim więc sposobem po tej stronie granicy są naraz katolikami w tak wysokim procencie?

Potem zaproponował by Watykan przysyłał księży z innych krajów i nie chciał uwieżyć, że tylko Polska jest exporterem księży. O istnieniu organizacji katolickiej Opus Dei, która ma własne seminaria i wyjątkowo dużą ilość powołań wogóle nie słyszał. Proponował by przyjeżdżali księża z...Czechosłowacji i też nie wiedział, że tam jest równie źle, a sytuację ratują tam też księża z...Polski.

Wreszcie powiedział, że braki księży na Białorusi uzupełni się przez szkolenia własnych w...Watykanie, bo nie daj Boże w Polsce bo by się... spolonizowali.

Też pomyśl. Ale księża katolicy to nie nie Popi, których można wypuszczać do pracy po sześciomiesięcznych kursach. Na wykształcenia księdza trzeba pięć-sześć lat, a brak co najmniej 300 księży na Białorusi więc jakim cudem chce ten gentelmen te braki zapłacić?

Ktoś powinien opracować zestaw danych z głównych państw katolickich, ilu jest katolików, ilu księży przypada na ilu wiernych, ilu księży kończy seminarium, i ilu skończyło w ciągu ostatnich lat.

Jest wiele trudności w dyskusji z takimi ludźmi. Po prostu nie mieli oni dostępu do olbrzymiej ilości informacji. Są w pewnej mierze informacyjnymi. analfabetami. Oczywiście nie jest to ich wina, nie oni postavili żelazną kurtynę między Wschodem, a Zachodem. Ale ta kurtyna stała tam lat czterdzieści dwa i swoje zrobiła. Niestety ci ludzie nie zdają sobie sprawy z tego jak wielki mają brak informacji, a ferują wyroki jak by byli Salomonami.

Dowiedziałem się też przy okazji, że Białorusinom w Polsce dzieje się krzywda. Dokładnie jaka nie powiedziano mi, same gołosłowania.

Ambasada RP mogła by dla takich informacyjnych analfabetów zorganizować konferencje prasową i podać dane o szkolnictwie białoruskim w Polsce i o dotacjach jakie od 1957 roku płynęły na oprganizację i kulturę białoruską od władz polskich.

Niestety. Nie liczcie na to drodzy czytelnicy bo Ambasada RP boii się powiedzie słowa prawdy i ostro stanąć w obronie swoich, a potem będą się dziwili jak ch nie poważają w Mińsku.

Opiekanie Litwinów

Jak podało wileńskie pismo Z Nad Willi przebywała w Wilnie Pani Margeret Kępińska-Jacobsen, która była tam z ramienia Komitetu Helsińskiego w Danii.

Grupy Helsińskie z Europy Zachodniej, jest takich grup 21, jeżdżą po całej Europie Wschodniej i sprawdzają jak poszczególne kraje realizują swoje zobowiązania wynikłe z podpisania Aktu Końcowego Konferencji Współpracy i Bezpieczeństwa jaka odbyła się lat temu piętnaście w Helsinkach.

Grupa Helsińska w Danii jest zainteresowana dołą Polaków na Litwie. Szczególnie zaniepokojeni są oni tym co się stało 4 września 1991r czyli rozwiązaniem demokratycznie wybranych Rad Narodowych okręgów podwileńskich. Po tym co się stało wtedy Grupa Helsińska przygląda się uważnie temu co się dzieje na Litwie i wysyła odpowiednie sprawozdania do ONZ, Rady Europejskiej i innych Grup Helsińskich.

W wyniku tej akcji, oraz innych, między innymi, akcji Związku Polaków Litwa nie została przyjęta do Rady Europy, a Kanada nie dała Litwie żadnej pomocy gospodarczej.

Po okresie euforii przyszedł czas na zastanowienie się nad "demokratyczną Litwą". Wreszcie dochodzą do czołowych pism wieści o wymordowaniu przez Litwinów ponad 100 000 Żydów w Ponarach.

Pozostaje nam wyrazić nadzieję, że na Białorusi będzie tak dobrze, iż niedługo zostanie uznana za najlepszą, najbardziej demokratyczną republikę byłego Sajuza.

Logika

Odwiedziłem restaurację Wanda w Mińsku gdzie mają całkiem nieczytelny menu i zaproponowałem zrobienie im czytelnego na własnym komputerze. Odpowiedziano, że niestety nie mają na to pieniędzy, bo są "firmą państwową".

Przy okazji zwróciłem im uwagę, że cudzoziemcy śmieją się z ich cen gdzie potrawa kosztuje często 300-400 rubli i ...17 kopiejek.

Dostałem odpowiedź, że takie są zarządzenia Ministerstwa Finansów, ma być dokładna kalkulacja.

Szkoda, że Ministerstwo Finansów zajmuje się takimi bzdurami, a nie pomyśli co zrobić by w drogich restauracjach przyzwolicie ludzi ... karmiono.

Właściwy gość?

Ambasada RP w Mińsku fetowała ostatnio Pana Sokrata Jankowicza z Białegostoku, który napisał w roku 1984 wspaniałą polszczyzną szalenie antypolską książkę pt "Białoruś, Białoruś", która jest rozpowszechniana na Białorusi przez Ambasadę RP i... Wspólnotę Polską.

Pan Jankowicz w swej książce wytykając Polakom co tylko może, zapomina, że Polacy tutejsi nie mieli w 1984 roku na Białorusi nie mieli wówczas nic. Ba chcieli być tylko tak prześladowani jak Białorusini byli dotąd "prześladowani" w Polsce.

Polowanie, takie duże, dla warszawskich gości - było jednym z największych ewenementów naszego roskiego dzieciństwa. Małych polowań rodzinnych, administracyjnych było zawsze bez liku, ale nie braliśmy ich w rachubę, ponieważ nie zwalniało nas wtedy z lekcji i dni te były dla nas szare, powszednie - jak wszystkie inne. Jedyną ich oznaką była wieczorna kolacja z winem, brydż w salonie, a potem przez wiele dni - zajęcia w śmietanie na obiad i często szynka z dzika na przekąskę.

Wielkie polowanie odbywało się w Rosi raz do roku, jakoś po Trzech Królach, i trwało trzy lub cztery dni. Poprzedzało je wiele ważnych spraw: nie kończące się narady z nadleśniczym, panem Krojcerem, nadchodzenie ciężkich pak z Warszawy od Kuryluka czy Pakulskich, jazdy Henia do Wołkowyska, odświeżanie sukien przez zmarszczoną z przejęcia p. Jakubowską, wreszcie - przemeblowania w naszym małym domku tak, aby się goście jakoś mogli pomieścić przy stole i aby jakimś cudem powiększyć liczbę gościnnych pokoi. W tym celu z oficyny wyrzucano centralę telefoniczną wraz z p. Sabinką. Grzegorz przenosił się na folwark, a dziewczęta musiały się zmieścić w jednym pokoju. Pachniało wszędzie porządkiem, czystością i miętą z macierzanką, które - ususzone przez Nianię - leżały w małych saszetkach po szufladach i szafach. Wuj Totek i ciocia Dzidzia Szaszkiewiczowie byli nie do złapania. Jeździli po lasach, po leśniczówkach, układali kolejność miotów, sprawdzali tropy na śniegu, wydawali dyspozycje gajowym i leśniczym. W domu, po powrocie, zasiadali w kancelarii wuja i rozmawiali długo z furmanami i innymi roskimi ludźmi stojącymi przy biurku z czapkami w rękach.

- Dwie pary Noniusów - w żółtych saniach - na czwartą na kurier do Wołkowyska. Pojedzie Maciej i Alosza. Antoś Brussa i Edessa niech wyjedzie wieczorem na stację na osobowy z Warszawy. We wtorek gotowi musicie być na szóstą rano.

Furmani się kłaniali i wychodzili, cicho stawiając nogi obute w czarne filcowe walonki. Oni także lubili polowania.

Wieczorem w poniedziałek zaczynał się ruch już na dobre. Przebierano nas w granatowe sukienki, które przy wycięciu miały wyhaftowane czerwone kropki i kazano wypatrywać przez okno sieni - czy jadą. Przejęte swoją misją rozplaszczaliśmy nosy o szybę, nasłuchiwaaliśmy uważnie. Później jakiś czarny cień majaczył na końcu lipowej alei i dzwonek u sań dzwigał coraz głośniejsze. Podnosiłyśmy wielki hałas. Wtedy Mama wychodziła do przedpokoju, a Henio z kagankiem wybiegał przed dom, za bramkę. Pędzono nas do pokoju, bo będzie straszny przeciąg, ale wciskałyśmy się za szaragi, tam nie będzie wiało. Przez uchylone drzwi wpadał zimny powiew z dworu, niosł parskanie koni, stukot kopyt o zmarzłą drogę i głosy gości:

- Tam pod baranicą jest jeszcze neser, proszę go wyjąć.

- Ja sam wezmę sztucer.

Po stopniach ganku stuknęły grube buty, skrzypiały drzwi. W progu ukazywały się ciemne, wielkie, ośnieżone postacie. - Dzień dobry, hrabino. - Ściągali z głów futrzane czapki, otrząsali biały puch z kołnierzy, tupali głośno. - Ależ mróz dzisiaj. Śnieżycą. Przed lustrem poprawiali włosy i zacierając ręce przechodzili do salonu. Wołała nas wtedy Mama, byśmy się witały, kazała podawać przekąskę. W drzwiach wypychałyśmy jedną drugą: idź ty pierwsza. Zawsze niemiło jest wejść do salonu, gdy jest tam tyle obcych osób. Wchodziłyśmy jedna za drugą, czerwone i zawstydzone. Podawałyśmy ręce tym obcym sykonym panom. Uśmiechali się do nas serdecznie i długo potrasali naszymi dłońmi. Ich ręce były duże i zimne od mrozu. Major Jurgielewicz tęgi, wysoki, czarny, wielki nasz przyjaciel od najmłodszych lat, przynosił z przedpokoju ogromne paczki. - To moje trofea z polowań afrykańskich. - Razem z nim na kanapie rozwiązywałyśmy kolorowe sznurki i rozpakowywałyśmy tekturowe pudełka z nalepką "E. Wedel". W środku na papierowym zielonym sianku leżały dzikie zwierzęta z czekolady: słon, lew, tygrys. Owinięte w złote papierki. Byłyśmy uszczęśliwione i nosiłyśmy się z tymi darami przez cały długi wieczór.

Teraz przed domem znowu zażywały dzwonek. To przyjechali goście z osobowego pociągu. W ciężkich dachach do ziemi, w sztywnych burkach i grubych bundach - ledwo mogli przecisnąć się przez wąskie drzwi. Wuj Stach Rey całował nas w policzki, drapiąc wąsami, wuj Papcio Cegliński witał się z Mamą,

Polowanie w Rosi

Anna Branicka-Wolska
fragment książki - Nie wysłane listy -

Zygmunt wieszał strzelbę na kołku, a coraz nowi ośnieżeni goście zjawiali się w progu. Stojąc w drzwiach od salonu wypatrywałyśmy kogoś jednego, na którego przyjazd cieszyłyśmy się najwięcej. Już byli bracia Korolkiewiczowie, Zbych i Ziutek, już był wuj Karol Potocki, wujowie Brzozowscy, już uściskaliśmy wuja Stacha Potockiego, już witaliśmy prezesa Stanisławskiego, p. Brenstjerna. Już p. Zaboklicki według obyczaju pocałował nas w najmniejsze paluszki - a jego wciąż nie widać. Wreszcie wszedł. Podniosłyśmy wielki wrzask radości: - Maluś! Maluś! - Jeszcze w lisiurze i w czapie futrzanej na głowie, odłożywszy tylko strzelbę - brał nas w ramiona, podnosił do góry i całował serdecznie. Był naszym ukochanym młodym wujem, w naszych sercach zajmował najpierwsze miejsce. Jego brata Andrzeja witaliśmy też serdecznie. O, będziemy na pewno wieczorami śpiewać - tak jak zawsze - gdy do nas przyjeżdżali.

W salonie zrobiło się gęsto, a jeszcze wielu gości brakowało. Część była już u cioci Dzidzi, a my oczekiwaliśmy jeszcze wojewody Kościłkowskiego i wuja Andrzeja Tyszkiewicza, który miał przyjechać nocnym wileńskim pociągami. Panowie palili papierosy, fajki i pili starą z cieniutkich kieliszków. My roznosiliśmy na tacy kanapki i doradzałyśmy: - Najlepsze są z kawiolem. A może te z grzybkiem? Myśmy jesienią same je zbierały. - Potem lśniąca, wielką limuzyną zajeżdżał przed ganek wojewoda. Auto miało łańcuchy na kołach, a mimo to nasz gość miał ciężką podróż. Strzelec w zielonym mundurze wniósł do sieni jego strzelbę, neser cały w hotelowych nalepkach i ciężką pakę z nabojami. Gdy wojewoda dogonił wszystkich liczbą zjedzonych kanapek - przechodziliśmy do jadalnego na kolację. Przy długim stole mieścili się wszyscy dzięki temu, że stał w Mamie pokoju, zamienionym w te dni na jadalnię.

Siedziałam naprzeciw Malusiu, wpatrzona w niego jak w tęczę, i słuchałam, jak opowiadał wesoło o Krakowie, znajomych i uniwersytecie. Onieśmielały nas te dwa długie szeregi panów z dwu stron stołu, ale dodawały otuchy miłe żarty i uśmiechy. Po kolacji roznosiliśmy kawę w małych filiżaneczkach na wysokich nóżkach, częstowałyśmy czekoladkami, które przywieźli Mamie generałowie z Warszawy. Później przychodził wuj Totek i zaczynała się rozmowa o jutrzejszym polowaniu.

- Więc jaki rewir bierzemy jutro? Lisy pewne? Jak z dzikami? Czy są wilki?

- Były wczoraj w Kościłkowskim Gaju. Bajer uganiania się za nimi ... Może ...

Później wyganiano nas z salonu. - Musicie się wyspać, jutro długi dzień was czeka. - Panowie także nie siedzieli do późna. Rozchodzili się do swoich pokoi, by nabrać sił na jutro i odpocząć po podróży.

Rano budził nas błysk lampy naftowej padający przez uchylone drzwi z pokoju Mamie. Świt był późny i przy świetle trzeba się było ubierać. W całym domu rozbrzmiewały szybkie kroki, krzątanie, głosy. Zrywałyśmy się z łóżek co prędzej. Dziś nie było przykro wylazić spod ciepłej kołdry. Emocja i radość zwyciężały senność. Wkładałyśmy wełniane, długie pończochy, szare "jupeculotte", swetry grube, zapinane pod szyją. Potem bieglyśmy do jadalnego, gdzie już gotowe było śniadanie i goście zaczęli się schodzić. Witaliśmy się z Mamą, zapewniali, że spalił się świetnie, i chwalili cudowną pogodę. Byli już wszyscy w myśliwskich strojach: irchowe wiatrówki, futrzane kamizelki, zielone grube swetry, pumpy, kapce lub buty wysokie, sznurowane. Jedliśmy jajka, wędliny, bułki, gorące parówki z musztardą, sery i świeży, pyszny graham - chlubił się Grzegorz. Malus jadł za dwóch i namawiał, bym szła w jego ślady. - Zobaczysz, jaka będziesz głodna już po pierwszym miocie. - Później drzwi od sieni otwierały się szeroko i stawał w nich wujek Totek. Był w brązowym futrze, w "klubowej" czapce, z zarękawkiem wiszącym na rzemieniu. - Dzień dobry! - wołał od progu. Równocześnie rozlegał się donośny głos pobudki granej na zakręconym myśliwskim rogu. - Prosimy do koni - czas jechać.

Zrywali się wszyscy od stołu, gwar się robił wielki, w sieni - tłok, szczęk broni, wołania na strzelców. Panowie wciągali futra, dachy, krzątała się służba

podając naboje, czapki, zarękawki. Przed domem chór dzwonek, stukot kopyt. Zajeżdżały sanie jedne za drugimi - cały korowód. Gajowy na koniu komenderował furmanami i ustawiał ich szeregiem. Konie denerwowały się, nie chciały spokojnie stać, parskwały. Już dawno nie były w takiej liczbie.

Kolejno sanie podjeżdżały pod ganek. Do pierwszych, szerokich, wygodnych wsiadła Mama z wojewodą i my trzy w zielonych naszych długich szubach. Henio okrywał nogi wielkim lisim futrem, a Marysię, siedzącą na kozle, obwiązywał głębokim "fusakiem". Ruszyliśmy ostro lipową aleją. Maciej powoził stojąc i mocno trzymał rzemienie lejc. Nie potrzebował bata. Konie rwały i trzeba było silnych rąk, by utrzymać je w cuglach. Za nami jechały rozdzwonione sanie, w których wśród poszystych, wysokich kołnierzy widać było twarze cioci Zunki, wuja Stacha, generała Głuchowskiego. Dalej - p. Brenstjerna, generała Piskora, i p. Stanisławskiego - okutanych w dachy. Dalej Andrzeja Potockiego. Ceglińskich, wuja Władka Dynowskiego, majora Jurgielewicza i całą masę postaci siedzących nieruchomo w niskich, śmigłych saniach. Furmani wszyscy stali, rozstawiwszy szeroko nogi w swoich czarnych kozuchach, przepasanych rzemieniami, w barankowych czapkach i czarnych walonkach.

Konie gnały jak wichry, rzucając za siebie twarde kule śniegu, ubite w kształt kopyt. Ludzie z szarych domków naszego miasteczka wylegli na ulicę, by się nam przypatrzeć. Siostry Romaniczukówny mignęły wychylone z okna, praczka Kulikowska skłoniła się nisko. Żydzi z małych sklepików wybiegali na ganki i patrzyli za nami otwierając usta. W jednej chwili minęliśmy miasteczko i wpadliśmy na pola białe, ciche, rozległe. Jechaliśmy do Sidorowszczyzny - to bardzo daleko. Koło Skrzybowa zwolniliśmy. Sanie lekkie, ale śnieg głęboki - koni nie można zmęczyć. Wojewoda rozglądał się dookoła i zachwycał widokiem okolicy. Mówił, że mu miło wyrwać się na parę dni z biur i urzędów, odetchnąć dobrym powietrzem. Pytał o stosunki w Rosi, o ludność, o majątek, przekomarzał się z nami i opowiadał o figlach swego syna w szkole. Bardzośmy go lubiły, a najwięcej Marysia, która z nim zwykle stała na stanowiskach.

Jechaliśmy długo, długo przez białe pola po kopnym śniegu. Mijałyśmy wioski, pełne rumianych dzieci w kozuchach i kudłatych kundli. Widocznie były z daleka czerwone dachy Kościłkowskiej i ciemna linia lasów na roziskrzonym słońcem horyzoncie. Byliśmy upojeni tą cudowną jazdą, rzeskim, ostrym mrozem, widokiem przepastnych zasp. Przed słońcem, skrzącym się w kryształkach śniegu - mrużyliśmy oczy.

Nagle Maciej wstrzymał konie i podniósł bat wysoko zatrzymał całą kawałkę. Wyskoczył z sań i podszedł do koni. Trzeba zdjąć dzwonek od uprząży, wjeżdżamy zaraz do lasu. Wszyscy furmani zrobili to samo i chowali dzwonek janczarki pod kozły sań. Teraz sunęliśmy cicho, prawie bezszelestnie - jak orszak widm z jakiejś bajki. Myśliwi się ozywali, rozpinali futerały strzelb i patrzyli uważnie na pole. Tropów moc. Dobra nasza! Wjechaliśmy do lasu. Godne sosny stały zwartym tłumem, witały nas szumem gałęzi. Maciej popędził konie, już widać było grupę ludzi, zielone mundury. Trzeba zajeżdżać z parą. Na nasz widok gajowi przyłożyli rogi do ust i donosnie, głośno zagrali fanfary Branickich - jak zawsze na rozpoczęcie polowania. Stanęliśmy. Spod futer gramoliłyśmy się z sań.

Pan Krojcer podszedł do Mamie i po wojskowemu - jak żołnierz przed dowódcą - wypreżył się i stanął na baczność. Gajowi stali również wypreżeni w kształt wielkiej podkowy. Pan Krojcer meldował, że opolowane będą takie, a takie rewiry, że nagonki jest tyle a tyle, a prowadzącym polowanie jest on, nadleśniczy Krojcer. Później schodzili się wszyscy do niego brązowozielonym myśliwskim tłumem i każdy o coś pytał. Wuj Totek tymczasem wyciągnął z torby kartki z numerami stanowisk. - No, panowie, loteryjka! - Wyciągali wszyscy po kolei białe sztywne kartki i czytali wypisane na nich numery stanowisk. Potem pan Krojcer dosiadał swego gniadego wierzchowca i zapraszał myśliwych do sań.

Wsuwaliśmy się znowu między dachy i lisiury i jechaliśmy leśnymi drogami za p. Krojcerem,

kłusującym przodem. Nagonka już od chwili była rozstawiona. Pan Krojcer coraz to stawał z boku drogi przy koszu plecionym z gałęzi i wołał do mijających go sań: - Numer pierwszy! Numer pierwszy! - Stawały jakieś konie i myśliwi w długim futrze gramolił się spod baranicy. Podbiegał wtedy i stawał przy nim chłopak, przydzielony mu do noszenia strzelby, naboju i pilnowania jego zajęcy. Łańcuch sań sunął dalej, przystając co chwila przy koszach. Wypatrywałam ciągle generała Piskora, a zobaczywszy go wyskakiwałam z sań i biegłam do niego. Uśmiechał się do mnie wesoło. - No, nie zapomniała o mnie moja maskotka! Czuję, że przyniesie mi dzisiaj dużo szczęścia. - Stawałam koło niego, a on zaraz sięgał do głębokiej kieszeni, gdzie szeleściły przyjemnie papierki. - Przywiozłam to, co lubi pani najwięcej. Czekoladki z likierem. Prawda, że znam już pani gusta? - Podawał mi na dłoni dużo złotych kul i sypał je w mój zarękawek. - Będziemy jeść teraz, bo potem musimy patrzeć, słuchać i uważać. Nawet papierkami nie wolno szeleścić, prawda, maskotko?

Kiwałam głową w futrzanej czapce i czy prędzej rozwijałam czekoladki.

Obok na stanowisku stała Marysia z p. Ziutkiem, dalej brnęła po zaspach za p. Brenstjernem, ledwo nadążając za jego wielkimi krokami. Potem rozległa się trąbka, odpowiadała jej druga, trzecia, czwarta i robiło się cicho. Mój generał obciagnał na sobie futrzaną kurtkę, poprawił w dłoni strzelbę i szepnął: - Nagonka ruszyła. - Stałam bez ruchu, wpatrzona w las, i marzyłam, by przed generałem zobaczyć pierwszego zająca. Po chwili gdzieś daleko na linii huknął strzał, zaraz potem drugi i trzeci. P. Ziutek się złożył, a i my w tej chwili zobaczyliśmy jednocześnie zająca biegnącego wprost na nas długimi skokami. Generał się złożył, ja zatkałam uszy - huk, zapach prochu i szept. Jest. Leży! Potem kanonada zrobiła się wielka, strzelali wszyscy z wszystkich stron, a mój generał walił co chwila i nigdy nie pudłował. Byliśmy oboje rozognieni i przejęci, ze zmarszczonymi brwiami patrzyliśmy w las i słuchaliśmy ostrzegawczego trzasku suchych gałązek.

Zal mi było tych długouchych zajęcy, ale nie przyznawałam się do tego. To nie byłoby po myśliwsku. Potem coraz głośniejsze stawały się krzyki naganiaczy, klekot drewnianych kołatek i głuche uderzenia kijami o pnie zmarniętych drzew. Generał nie strzelał już przed siebie. Przepuszczał zajace przez linię i kropił do nich po drugiej stronie drogi. Potem naganiacze podnosili zajace i taszczyli je za tylne nogi do stanowisk. Rzucali je w śnieg obok koszy i dzielili się uwagami - ale dostał! Cały łeb ma rozwalony! A temu łapę urwało, patrz. Pojeżdżały sanie i myśliwi skupiali się wokół nich. Opowiadali, ile kto zabił, kto miał lisa, kto spartaczył, a kto ma dzisiaj swój dobry dzień. Potem jechaliśmy drogą wzdłuż zdeptanych placyków koło stanowisk, na których pełno było rozrzuconych kolorowych gilz od naboju, a z boku w pokropionym farbą śniegu leżały zajace, gdzieś gdzie lis. Myśliwi mijający się wołali jeden do drugiego. - No, jakże poszło? Ile macie? - Jechaliśmy kłusa na następny miot. Pan Krojcer poganiał furmanów: - Prędzej, prędzej!

Stawaliśmy znowu przy innym zielonym koszu i znowu jedliśmy czekoladki, potem generał strzelał zajace, a ja je z dumą rachowałam na palcach: Sześć, siedem, dublet, dziewięć... Już osłuchałam się ze strzałami i nie zatykałam uszu. Mrugałam tylko oczami, gdy huknął strzał tuż, tuż, i z przyjemnością wciągałam w nozdrza ostry zapach prochu. Przejeżdżaliśmy lub przechodziliśmy ze stanowiska na stanowisko, a w przerwach wołałyśmy do siebie z Marysią i Atką: - Ile twój ma? Mój już jedenaście. Mój piętnaście! - Miałyśmy szalone ambicje za swoich myśliwych i skakałyśmy sobie do oczu, gdy jedna drugiej powiedziała, że jej towarzysz spudłował.

Potem było śniadanie. Jechaliśmy na rozległą polanę, gdzie pośrodku płonęło ogromne ognisko. Dokoła w podkowę stał stół. zбитy ze świeżych desek, a przy nim ławy z cienkich pni brzoźowych. Służba domowa kręciła się wkoło kotłów i wyciągała z koszy cynowe talerze, kieliszki i sztytce. Wszyscy myśliwi skupili się przy ogniu, nastawiając do ogrzania ręce, grzejąc plecy. Gwaro tu było i wesoło. Ogień strzelał wysoko, huczał wielki płomień, pachniał dym jałowcowy. Myśliwi zasiedli na ławach, a my razem z Heniem i Maciejem roznosiliśmy kieliszki z nalewką i podawałyśmy bułki z szynką i pasztetem. Wszyscy jedli dużo i dużo pili, a i mnie dał Maluś spróbować trochę wódki. Potem rozdano talerze, na których dymiły zrazy z kaszą, a wreszcie w filiżankach roznosiliśmy herbatę z czerwonym winem na

rozgrzewkę i w koszach pomarańcze.

Trochę dalej na polanie obiadowała nagonka. Dostali też wódkę, dużo chleba i kiełbasy, a gajowi w trzecim kącie polany - jedli swój bigos.

Gdy wszyscy byli najedzeni, ogrzani i wypoczęci, p. Krojcer dawał sygnał. Podjeżdżały sanie, nagonka ruszała za gajowymi i myśliwi wstawali z brzoźowej ławy. Teraz porzucałam mego generała dla Malusia. Nie miał cukierków w kieszeni, ale za to był wesoły, swój i miły, jak żaden inny z gości. Uczepiona jego długiego rękawa brnęłam w głębokim śniegu ze stanowiska na stanowisko, ciągle roześmiana, uszczęśliwiona i wesoła. Maluś gadał bez przerwy, opowiadał różne śmieszne historyjki, żartował i pozwalał mi nosić za sobą ciężką wielką strzelbę. Jeździłam saniami na jego kolanach, bo tłok był, a sanie wąskie. Trzymał mnie za ramiona, bym nie wypadła w zaspę wilkom na pożarcie, a nogi okrywał starannie baranicą. Dobrze było, przyjemnie, a nawet trochę za wesoło, bo głośnym śmiechem wypłoszyłam Malusiowi lisa. Nie mógł mi tego darować ani zapomnieć.

- No, Nutku, aleś mi, gałganie, szkodę wyrządził, no, no. - Groził mi palcem i robił marsa, ale się go nie bałam.

Później, gdy zmrok zapadał i w lesie robiło się szaro, wszyscy myśliwi zjeżdżali się na skraju lasu, gdzie oglądało się sztrekę: zwierzyna leżała na śniegu ułożona rzędami w jaskrawym świetle czterech wielkich kagańców. Gajowi stali w zwartym dwuszeręgu, a pan Krojcer meldował Mamie ilość i jakość upolowanej zwierzyny. Potem dawał znak i wszyscy razem grali hymny: lisów, zajęcy, bażantów - każdą melodią ilustrując charakter danej zwierzyny. Ślicznie w ciszy leśnej brzmiały te tabki myśliwskie, pięknie płonęły pochodnie i tajemniczo wyglądały w ich świetle sylwetki myśliwych, gajowych i długi pokot ubitej zwierzyny.

Potem naciągaliśmy dachy, burki i sadowiliśmy się w saniach otulając nogi baranicami. Ruszaliśmy do domu rzędem rozdzwonionych sań, cichą, białą drogą oświetlaną czerwonymi żagwiami pochodni, które wysoko uniesione w górę trzymali konni galopujący przy saniach. Żegnaliśmy czarny las do jutra i ciemny tłum naganiaczy sadowiących się hałaśliwie na saniach.

Jadąc nie rozmawialiśmy. Była cisza, tylko srebrzysty dźwięk tysiąca dzwonek, szelest płóz, sunących po śniegu i czasem krótki krzyk któregoś z furmanów: - Ej, lewo! Uwaga, zwolnij! - Było cudownie, baśniowo, nierealnie i z przykrością wjeżdżaliśmy między domy miasteczka i stawialiśmy przed domem. Potem z tupotem tłum myśliwych wchodził na ganek. W sieni rzucali ciężkie futra i przechodzili do salonu, by rozgrzać się herbatą i rozchodzili się do swoich pokoi.

My też bieglyśmy do siebie i z przyjemnością zdejmowałyśmy grube ubrania. Potem przebrane już w waksmitne niebieskie sukienki szłyśmy za Mamą do salonu, by być "pod ręką na posyłki". W kryształowych miseczkach układałyśmy czekoladki, w srebrnych kubkach papierosy, przynosiłyśmy karty, kredki i bloczki brydżowe, rozstawiałyśmy popielniczki. Później, gdy na okrągłej lustrzanej tacy ustawione były smakowite małe kanapki, gdy w karafkach czerwieniła się nalewka "cassis" - schodzili się goście - z domu, z oficyny i od Szaszkiewiczów - wszyscy czarni, uroczyści, odświętni, a wojskowi - strojni w order i z dzwoniącymi szablami u boku. Panie z sąsiedztwa i nasze domowe miały też śliczne suknie, piękną biżuterię, a chłopcy Szaszkiewiczowie granatowe ubranka z białym kołnierzykami pod szyją, które nakładali tylko od "wielkiego dzwonu".

Obiad trwał długo. Gwar się wzmagił, to ucichał nagle, dzwoniły kieliszki, brzęczały talerze. Poobiedzie cały ożywiony czarny tłum przechodził do salonu i zasiadał wkoło czeczotkowego okrągłego stołu. Rozmowa naturalnie o polowaniu, o podjazdach, o ciągach i rykowiskach. Panowie perorowali z przejęciem, robiąc gwałtowne gesty, opowiadali o swych myśliwskich przygodach. Jak to "on paf, a ten już leży" itd.

Radio nastawiliśmy na Paryż, więc zrobiło się jeszcze weselej i głośniejsze. Lucienne Boyer śpiewała swoim przemitym głosem: "A Paris dans chaque faubourg". Wieczór leciał szybko i równie szybko znikał z kryształowej miseczki wedlowskie czekoladki, do których myśmy się przysiadły. Wreszcie rozeszliśmy się do pokoi i była noc czarna, cicha, spokojna.

Na drugi dzień rano, w półprzymrogu, usłyszałam pod domem trąbkę gajowego, ale nie mogłam się

zdobyć na wyskoczenie z łóżka. Takie było ciepło, miękkie i wygodne! Słyszałam, jak Marysia ubierała się prędko i tupiała bosymi stopami, słyszałam, jak kręciła się służba po korytarzu i jak Mama wołała: - Macieju, podajcie już kawę. - Wiedziałam, że dziś znów polowanie, że dziki w Szynypowie, że już najwyższy czas wstawać, ale senność zwyciężyła i oczy uparcie nie chciały się otworzyć. Tak, za długo wczoraj siedziałam się pod radiem na taborecie. Teraz sen panował niepodzielnie i zagłuszał hałasy wyruszających na łowy myśliwych.

Obudziłam się późno, chyba po dziesiątej. W domu było cicho i pusto. tylko z pokoju Mamy, z łóżka Atki dochodził jej równy, miarowy oddech. Też zasnęła! To mnie pocieszyło. Zła byłam na siebie za to, że nie pojechałam, a jeszcze więcej na Nianię, że siłą nie wyrzuciła mnie spod koldry. No trudno - przepadło.

Dzień ciągnął się strasznie wolno, leniwie, obie z Atką czekaliśmy wciąż siedząc w oknie - na powrót myśliwych. Jakże się im powiedzie? Ile dzików padnie? O zmroku już zadzwieczyły dzwonki. Sanie zbliżały się lipową aleją. Wbiegłyśmy w sukienkach na ganek: - No, jak, komu dziś szczęście sprzyjało? - Marysia wołała zza bramki: - Dzików sześć padło! Lisów ze dwanaście. Było cudownie, żałujcie, śpiochy!

Rozeszli się wszyscy do pokoi, by się przebrać, bo potem mieliśmy iść na obiad do Szaszkiewiczów. Poszliśmy przez ciche pastwisko, rozkopaną w śniegu ścieżką pod gwiazdistym, jasnym niebem. Ze stajni remontowej dochodziło chrupanie owsa i parskanie. Przez uchylone ciężkie drzwi padała na śnieg czerwona smuga latarni. Biały domek wuja Totka błyszczał złotymi oknami. Weszliśmy do sieni, służący Oleś zdejmował futra, a Jerzy i Krzysiek odbierali czapki gości. Jak małe paziki klękając rozpinali paniom śniegowce, ściągali ośnieżone kapce. Zawsze byli bardzo gościnni i usłużni. W salonie stały kandelabry i światło świec stwarzało miłe, srebrno-migotliwe oświetlenie. Na ścianie koło drzwi od sieni wisiała wielka głowa wilka zabitego przez ciocię Dwidżkę, a obok druga - trofeum dziesięcioletniego Krzysia - przeniesiona tu na dziś, z powodu święta, ze swego zwykłego miejsca nad jego małym łóżeczkiem. Dumny był Krzysiek ze swego tryumfu myśliwskiego i z uśmiechem, po raz nie już który, opowiadał gościom, jak to było.

Potem Oleś stanawszy w drzwiach oznajmił, że obiad podany, i tłum gości ruszył do jadalni. My z chłopcami bieglyśmy przez kredens do małego stołowego, bo przy stole nie było dość miejsca. Siedzieli tam już malcy z podwiązanymi pod bródkami wielkimi serwetkami wyszywany w cipusie i zajaczki. Mem i Elżbietka karmiły je i popędzały: - Dziuniu, prędzej połykaj! Bobeniu, przecież to już nie gorące. Patrz, Mem dmucha. otwórz buzię.

Z dużego jadalnego dochodził gwar ożywionych rozmów, a z kredensu podniesione głosy służby, stkanie naczyń i talerzy. Oleś z wypiekami na twarzy stawał przed nami półmiski, które wracały do dużego stołu. Kolorowe galaretki i zimne sałatki były rozrzucone, ale to nie przeszkadzało naszym apetytom.

Po obiedzie w salonie rozstawiono brydżowe stoliki. Siadaliśmy na poręczach foteli Mamy i Ciopeni i słuchaliśmy rozmów starszych przy okrągłym stole albo stojąc za plecami brydżystów patrzyliśmy w wachlarze rozłożonych kart. "Bez atu", "kontra", "szlem" - to brzmiało jakoś magicznie i przyciągało uwagę.

Potem wywoływał nas Oleś do sieni: - Henio już przyszedł do panny hrabianki.

Trudno, trzeba się było pożegnać w salonie i iść spać do domu. Niektórych gości już jutro nie zobaczymy. Większość wyjeżdża dziś nocnym pociągiem, który o dwunastej staje na naszej cichej stacyjce, pędząc z Wilna do Warszawy.

Następnego dnia dla pozostałych gości jest małe polowanie w Bobłowskiej Dąbrowie. Jeszcze dużo tam zajęcy i niejeden lis się znajdzie. Jedziemy wszystkie trzy. Nawet chłopcy Szaszkiewiczowie będą dziś strzelać stojąc na stanowiskach - jeden z Mamą, drugo z Papą. Jerzy, dumny jak paw, niesie na ramieniu swoją dwudziestkę, a Krzysiek próbuje złożyć się z szesnastki. Ciężkie licho!

Dziś jest inny nastrój polowania. Nie ma ważnych warszawskich gości, nie ma generałów ze swymi zielonymi strzelcami, nie ma wojewody i jego lśniącej limuzyny ani tego tłumy naganiaczy i hymnu Branickich przed pierwszym miotem. Mniej gajowych, nie są dziś tak oficjalni, a za myśliwymi my - dzieci - mamy nosić torby z nabojami.

Rok 1919 - Bolszewicy czy Denikin ?

Fragment z kilku wywiadów udzielonych przez wybitnych przedwojennych polityków Mieczysławowi Pruszyńskiemu

Tekst zaczerpnięty z książki Mieczysława Pruszyńskiego - Oni

Z kolei rozmowa przechodzi na nowsze czasy, okres wojny polsko-bolszewickiej i traktatu z Rosją, w którym rozmówca nasz odegrał tak decydującą historyczną rolę. Przede wszystkim chcielibyśmy z tak autorytatywnego historycznie źródła zasięgnąć informacji, co do stanu rokowań polsko-bolszewickich w roku 1919, co do których źródła polskie i rosyjskie są wręcz sprzeczne. Formułujemy więc pytanie.

- Czy zdaniem pana ministra Polska zawarła rozjem z Rosją (kwiecień-grudzień 1919) by umożliwić jej zgnicenie armii białej?

- Słyszałem o tym już znacznie po 1920 roku, ale nigdy o prawdziwość tej wersji nie zapytałem Piłsudskiego, bo już wtedy się z nim nie stykałem. Mogę tylko powiedzieć, że gdyby ktoś mnie zapytał o zdanie w tej sprawie, odpowiedziałbym, że nie mamy powodów do popierania Denikina. Ten ostatni wysłał w roku 1919 do Warszawy kozackiego generała - nazwiska już sobie nie przypominam. Rozmawiałem wtedy z nim. Z rozmowy tej przekonałem się stanowczo, że ani Denikin ani Wrangel, ani nikt z białej armii nie zgodzi się na przyznanie Polsce dalszych granic na wschodzie poza Bug. Rewolucja nie nauczyła tych ludzi niczego.

O tym czy Marchlewski naprawdę przyjeżdżał wtedy do Polski i osobiście sprawę rozjem z Piłsudskim w Belwederze omawiał - nie wiem.

I po chwili jeszcze minister dodaje:

- Gdy podpisywałem wspólnie z innymi delegatami preliminarz pokojowy w Rydze, powiedziałem do Dąbskiego:

"Podpisujemy w tej chwili wyrok śmierci na armię Wrangla". Ale musiała nam być bliższa Polska niż biała Rosja. Przypomina mi się jeszcze inny, związany z tym epizod. W czasie rokowań ryskich Joffe zapytał mnie, czym uzasadniamy nasz projekt granicy na Wołyniu. Odpowiedziałem, że wyłącznie wymaganiami strategicznymi. "Musimy mieć przewagę techniczną (kolej Równe - Sarny - Baranowicze), bo wy macie liczebną". Joffe mi na to po chwili wahania powiedział: "No dobrze, ale skąd my możemy wiedzieć, że gdy my ruszymy na Wrangla to wy na nas z tyłu nie uderzycie". Odpowiedziałem "o nieszczerłość możecie nas podejrzewać, ale nie powinniście nas podejrzewać o głupotę. Jeśli wy nam przyznacie teraz granice których żądamy, to czyż opłaci się nam pomagać Wranglowi, by on je potem obalił". Uspokoilo to Joffego.

Doszliśmy już do traktatu ryskiego. Ryzykujemy pytanie.

- Czy zdaniem pana ministra Polska w traktacie ryskim mogła była uzyskać korzystniejszą granicę na wschodzie.

Chmura gniewu ukazuje się nagle na pogodnym dotychczas obliczu Stanisława Grabskiego. Mimo woli przypomina mi się kasztelan rogoziński i smutny los heretyka w jego ręku. Minister mówi zapalając się:

- Właściwie nie powinienem panu odpowiadać na to pytanie. Nie pamiętam, czy brat pański napisaliście niedawno - że dyskusja z Giertychem sprawę tę wyjaśniła. Znadto młodzieńcze jest to pytanie! Wszyscy razem myślicie, że rząd ówczesny i Rada Obrony i naczelne dowództwo i delegacja pokojowa - jednym słowem cała Polska to była kupa niedołęgów i matołków. Całe nieszczęście Polski - że p. Giertych był wówczas za młody, by grać czynną rolę w naszym życiu państwowym. Bo on jeden by należał ocenił sytuację. Śmieszna zarozumiałość. Wygraliśmy w 1920 roku kampanię, ale nie zniszczyliśmy żywej siły nieprzyjaciela i Polska była bardziej wyczerpana od Rosji. Trzeba było zawrzeć pokój koniecznie przed zimą. Przeciagaliśmy umyślnie rokowania jak najdłużej, by wojska nasze posunęły się jak najdalej na wschód, ale dłużej tej gry prowadzić nie sposób było. A zima dałaby bolszewikom czas na zrekonstruowanie armii. I co

najważniejsze - podczas zimy albo by bolszewicy pokonali Wrangla, albo Wrangel bolszewików. Tego ostatniego najbardziej się bałem. Bo w razie zwycięstwa Wrangla opuściłaby nas nawet Francja. Rosja "biała" - dla masy rentierów francuskich oznaczała zwrot carskich długów i procenty od posiadanych przez nich obligacji rosyjskich. Rosja "biała" byłaby bliższa sercu francuskiemu od Polski. Tylko od Rosji bolszewickiej mogliśmy wywalczyć uzyskane granice.

- Czy pan minister zechciałby nam jeszcze udzielić wyjaśnienia, dlaczego w publicystyce polskiej, pojawia się od czasu do czasu sprawa Mińska, z zaznaczeniem niechętnego jakoby stanowiska pana, odnośnie jego przyłączenia wówczas do Polski?

- Przyłączenia ziemi mińskiej do Polski nie uważałem mimo wszystko za rzecz wartą ani ryzykowania dłuższej wojny (boć go jeszcze nie mieliśmy) ani też ustępstw na innym odcinku. Etnograficznie uważałbym już nawet za ważniejsze ziemię na południu, Kamieniec, Płoskirów i Stary Konstantynów. A jeśli i od ich domagania się odstąpiliśmy - to dlatego, iż uważaliśmy za jeszcze ważniejsze dla nas ziemię na północy, Dżisnę i Wilejkę. One bowiem dawały nam wspólną granicę z Łotwą i odcinały Litwę od Rosji, a przez to umożliwiały nam wcielenie do Polski Wilna, rzecz niemożliwą w innych warunkach. Wraz z tym też Rosja w preliminarzu pokojowym uznała, że sprawa ziemi wileńskiej jest sporem wyłącznie polsko-litewskim, i w ten sposób zerwała de facto swój sojusz z Litwą. Zapewnienie w ten sposób inkorporacji ziemi wileńskiej, uważałem za wiele ważniejsze od zdobycia Mińska. Choć latyfundia polskie były większe w Mińszczyźnie niż w ziemi wileńskiej. Przede wszystkim jednak zrozumiałem, że tylko odepchnięta od Bałtyku Rosja skieruje swą ekspansję na wschód i wcześniej czy później zerwie porozumienie z Niemcami. Oto dlaczego starałem się ze wszystkich sił o uzyskanie dla Polski wspólnej granicy z Łotwą i oddzielenie spornej ziemi wileńskiej od Rosji. Moją to było przede wszystkim inicjatywą żądanie Dżisny i Wilejki, choć tam nie powstała w kontrofensywie naszej jesiennej 1920 roku ani jedna jeszcze noga żołnierza polskiego. Przeprowadzenie tego żądania uważam za najlepszą bodaj rzecz, jaką mi się kiedykolwiek udało zrobić dla Polski.

W sprawie tajnej klauzuli o Petlurze

- Na zakończenie okresu traktatu ryskiego chcielibyśmy jeszcze prosić pana ministra o wyjaśnienie sprawy tajnej klauzuli w traktacie, która miała zobowiązać Polskę do wydalenia atamana Petlury z granic Polski. Sprawa tej klauzuli spotyka się jednak do dziś dnia z kategorycznymi zaprzeczeniami niektórych kół.

- Nic o tym nie wiem.

- Niedawno jednak, panie ministrze, zapewniano nas równie kategorycznie, iż klauzula taka istniała, i opowiadano nam związane z nią, szczegóły ukrywania atamana przez szereg miesięcy w Polsce. Spodziewaliśmy się, iż potwierdzenie powyższego z drugiej strony przez pana profesora pozwoli nam ostatecznie ustalić prawdziwy stan faktyczny.

- Możliwe - odpowiedział na to Stanisław Grabski, - iż klauzula taka znalazła się w samym traktacie. Ja układałem i podpisałem wspólnie z delegacją Rady Obrony Państwa tylko preliminarz i zapewniam pana, iż w tej umowie podobnej klauzuli nie było.

*) A więc tu może leżał pretekst do niezrozumiałych oszczerstw szerzonych z pewnych kół politycznych w roku 1920 i później o "tajemnym połączeniu telefonicznym Belwederu z główną kwaterą wojsk sowieckich"?

Opewracja wahlarz

Na Białorusi Armia Krajowa przeprowadziła szereg akcji zbrojnych, które zorganizowane były na polecenie Anglików pod kryptonimem Wahlarz.

Niestety piąty odcinek wahlarza w Mińsku wpadł. Mimo doskonałych prób wydobycie więzionych akowców, jeden ze strażników wzięcia wtajemniczony w akcje odbicia zdradził i na marne poszły wszystkie wysiłki. O tej operacji pisze bard Ak Pan Chlebowki w książce Zagłada V Odcinka.

Polowanie w Rosi c.d.

Dumni ze swej roli chodzimy krok w krok za swymi mistrzami, a zawieszane przez ramię ciężkie torby kołują się w takt kroków. Nie opuszczam Malusia. Miot za miotem mija. huczą strzały, przeraźliwie płaczą zające i krzyczą ochrypli naganiacze. Kieszenie pełne mam pustych, zielonych i czerwonych gilz, które skrzętnie zbieram dla dzieci folwarcznych. Bawia się nimi jak wojskiem.

Śniadanie jemy w gajówce Sajdy na skraju Bobrowskiej Dąbrowy. Pokoiki świecą czystością i pachną rozsypaną na podłodze jedliną. Ze ścian patrzają jaskrawe obrazy Matki Boskiej z Dzieciątkiem i Serce Pana Juzusa, a obok nich duża, szczerbota ślubna fotografia gajowego. Na stołach, na komodzie, na półkach - wszędzie - wyszywane śnieżnobiałe serwetki i sztuczne kwiaty w wazonie pośrodku stołu. Gajowy i jego rodzina wyporządzili swój domek niczym na Wielkanoc, a teraz zgromadzili się obok, w kuchni, i przez szparę zaglądają do nas. Oczy ich są ciekawe i pilne. To wielkie wydarzenie w ich szarym, monotonnym życiu. Siedzimy wszyscy przy stole, starsi popijają wódkę, pogryzamy kanapki i czekamy na bigos, który Grzegorz odgrzewa na małej kuchni Sajdy. Jest tu bardzo ciepło i przytulnie, a ławy okryte kilimami są miękkie niczym domowe fotele.

Po śniadaniu znowu las, cichy, ośnieżony, rozbrzmiewający strzałami. Znowu donośne trąbki i nasze okrzyki. - Jest! Leży! Dostał!

O zmierzchu, wracając do domu, mijaliśmy jadące wolno sanie ze zwierzyną. Na "szubienicy" za tylne nogi wiszą jedne koło drugich zające. Ich szeroko otwarte szklane oczy patrzą nieprzytomnie. Jest ich dużo, dużo i fernalskie kobyły ciągną je z wysiłkiem. Stary fernal Jądkowski musi często świstać batem.

W domu czeka nas przygotowana już zakąska pod dużą lampą z zielonym kloszem i miękkie fotele, w które tak miło się po dniu pełnym ruchu, mrozu i emocji. Dziś panowie się nie przebijają. Przy kolacji nastrój swobodny, więcej śmiechów, a mniej polityki. Potem do fortepianu siada Maluś, a Andrzej staje przy nim oparty o framugę okna. Będą śpiewać dumki ukraińskie, te, które wszyscy najchętniej lubimy. Śpiewają na dwa głosy, a my zasłuchani moglibyśmy tak siedzieć do rana. Po dulkach kolej na piosenki polskie, potem wojskowe, wreszcie fransuskie. Teraz i nas zawołano do fortepianu. Ociągając się i wymawiając stajemy przy Andrzeju, naprzeciw Malusia i początkowo cicho, potem coraz głośniejszy chór cieniutkich głosów ciągnie: "Au claire de la lune mon ami Pierrot ...", później inne, a w końcu przerywane wybuchami śmiechów "Frère Jacques". Trwa to długo, coraz to ktoś przypomina jakąś piosenkę i Jerzy uderza wkławisz. "Dziura wgarnku, miły Romciu", "Smutna, smutna jest dola ma", "Gdzie płynie strumyk z wolna", a potem znowu od początku wszyscy razem: "Czowen", "Zirońki", "Czornyje huzary" i senne, powolne "Nad Prutom u łuzi".

Zegar aż za głośno wybija nocną godzinę, a w drzwiach staje Niania: - Spać, spać.

Tak się kończyło roskie wielkie polowanie, na które się czekało cały długi rok i które jeszcze dzisiaj wspomina się z przyjemnością.

Uwaga: Fanfara myśliwska Branickich była ułożona w Montresorze przez Augusta Leforda, strzelca Xawerego Branickiego, stryja mego dziada.

Nowy Dziennik Kijowski

Otrzymaliśmy przyjemną korespondencję. Życzenia Świąteczne od nowego polskiego pisma na Ukrainie wychodzącego pod nazwą Dziennik Kijowski.

Okazuje się, że jest to kontynuacja pisma istniejącego w Kijowie od 1906 roku. Otrzymaliśmy numer 4 wznowionego pisma. Nie pozostaje nam nic miłego jak złożyć gratulacje twórcom pisma i tym bardziej wyruszyć na Ukrainę mając tam własne kontakty z rodakami.

Najciekawsze, że mówi się już też o stworzeniu polskiego pisma w...Moskwie. Tam bodaj od 1906 roku był tygodnik, a w czasie I Wojny Światowej nawet ten tygodnik przekształcono w...dziennik.

Są polskie pisma we Lwowie, w Wilnie, Magazyn Polski w Lidzie, Nad Noiemnem w Grodnie i Pryzma w Mińsku. Może zorganizujemy spotkanie pism Poloni z całego świata...w Mińsku?

Diana czyli życie z księciem z bajki

Renzja z książki Andrew Morton:
Diana - historia prawdziwa

Książka pasjonująca, opowiadająca historię dziewczyny, która nim stała się kobietą została księżniczką. Historią kobiety, która przeżywszy swój życiowy dramat odnalazła swoje "ja".

Andrew Morton czołowy królewski pisarz-kronikarz, wspierany przez rodzinę oraz przyjaciół księżniczki Diany opisał prawdziwe jej życie, od chwili narodzin aż do jej małżeństwa z Księciem Karolem, następcą korony brytyjskiej, jej sukcesy i upadek. Autor korzystając z prywatnych zbiorów Diany przedstawił w jej fotografii od okresu jej dorastania aż do chwili obecnej. Książka ta - mam nadzieję ukaże się na półkach księgarń Białorusi.

Zawarto w tej książce prawdziwą historię życia Lady Diany, córki Frances Roche (córka czwartego barona Fermoy) oraz Johna Althorpa - rodziców o długim szlacheckim rodowodzie. Po śmierci dziadka Diany - hrabiego Spencer - tytuł ten, jak również ogromnie zadłużone dobra przejął jej ojciec. Historia Diany kojarzy mi się z historią jej matki, która również nie mogła poradzić sobie sama z sobą w otoczeniu "woskowych figur" w kręgu rodziny męża. Hrabina Althorp opuściła męża, otrzymała rozwód, w następstwie czego odebrano jej dzieci, albowiem to ona odeszła do drugiego mężczyzny. Dzieci wzrastały; a było ich czworo: Sara, Jane, Diana i oczekiwany, zdrowo narodzony syn Charles (przed urodzeniem Diany zmarł na skutek wrodzonych wad po dziesięciu godzinach życia jej brat John).

Dzieci odebrane matce miały ciężkie życie, opiekunki ciągle zmieniały się, dzieciom przybierało stresów, co w konsekwencji prowadziło do niedomagań zdrowotnych (nota bene niedomagania te w trudnych okresach życia Diany ciągle ją prześladowały). Po cichym ślubie ojca z Raine - rozwiedzionej z hrabią Dartmouth, apodyktycznej i do końca nielubianej macochy stresy podlegały się, co u dzieci powodowało nawrót choroby, zwanej bulimią. Diana wyrastała w cieniu swych starszych siostr i młodszego brata Charlisa, a byli od niej o wiele zdolniejsi - jako brzydkie kaczątko, miała jednak taką siłę przebicia, że w innych dziedzinach starała się być od nich lepsza, co w konsekwencji stało się dumą jej ojca - hrabiego Althorpa i dało jej miłość babki - hrabiny Spencer, Diana tak bardzo pokochała babkę, że twierdziła, iż babka jej opiekuje się nią z za grobu.

Nauki ściśle zawsze były słabością Diany. Żeby nie pozostawać w tyle za swoim rodzeństwem starała się rozwijać: nauki humanistyczne, zdobywała nagrody w pływaniu, gdyby nie nazbyt wysoki wzrost 176 cm, to mogłaby zostać wspaniałą tancerką, tak perfekcyjnie starała się opanować sztukę tańca.

W trakcie nauki w wielu szkołach wiodło jej się różnie, ale zawsze starała się osiągnąć odpowiednią wiedzę, była otwarta dla ludzi, słabym pomagała, ciężko chorymi opiekowała się, pracowała również ażeby samodzielnie się utrzymać. To wszystko co było jej młodzieńczym przyzwyczajeniem odbiło

się i odbija w jej życiu na królewskim dworze. Wszystkie młodzieńcze zapęły i przyzwyczajenia realizowała na królewskim dworze, odwiedzała ośrodki dla ciężko chorych, organizowała nowe medyczne Ośrodki, organizowała charytatywną działalność na rzecz słabych, biednych i co najważniejsze na rzecz nieuleczalnie chorych, w tym oczywiście pomagała chorym na AIDS i organizowała dla nich ośrodki terapii.

Dorastając ubierała się skromnie, sama np: prasowała swoje dzinsy. Mając 17 lat zamieszkała z dala od rodziców w Londynie, mieszkając z przyjaciółkami, które note bene pozostały do końca wierne tej młodzieńczej przyjaźni, starała się stałe utrzymywać porządek w ich wspólnym mieszkaniu, a nierzadko też im usługiwała.

Dorastając ciągle czuła się brzydkim kaczątkiem i żałowała, że nie urodziła się synem.

Zaczęła rozkwitać w momencie pierwszego spotkania z księciem Karolem w 1979 roku, który to wówczas sympatyzował, czy jak mówi autor książki - romasował z siostrą Dianą - Sarah. Spotkania Diany z Karolem były tak często komentowane i to nie zawsze przychylnie, że Diana tuż po ogłoszeniu zaręczyn znalazła siebie w stanie skrajnego wyczerpania i wówczas to coś jej powiedziało by wycofać się, niemniej jednak znalazła w sobie tyle siły by to przełamać i dała swemu przeznaczeniu wyzwanie, albowiem uczucie jej w stosunku do swego męża ciągle rosło, wierzyła w to, iż Karol pomoże jej, że będzie z nią tworzył jedność.

Tuż przed ślubem mit o szczęściu zachwiał się. Prasa zaczęła rozpisywać się o ciągłym trwającym związku księcia Karola z byłą jego przyjaciółką Camilią Parker - Bowles, który to romans trwa zresztą do dzisiaj. Ślub odbył się 29 lipca 1981 r.

Czytając tę książkę będziecie razem z Dianą przeżywać jej szczęście, później strach, chorobę i złe przeczucia (miewała nadprzyrodzone wizje), a także rozpacz kobiety, matki ukochanych synów, których wychowuje w miłości, uczuciu ciepła rodzinnego, zrozumieniu choroby, śmierci bądź nieszczęść innych ludzi. Obserwujemy jej silną wolę dorastania do roli żony następcy tronu, włączenia się w życie na królewskim poziomie, a życie to łatwe nie jest. Jej wcześniejsze wyobrażenie o życiu u boku wymarzonego księcia z bajki błędnie, marzenie o szczęściu upadło, nastąpiły stresy, choroba i bojkot wszystkich tych, którzy wcześniej zachłystywali się jej osobą, jej dostojnością oraz pięknnością. Stresy jakie przyszły w następstwie życia na królewskim dworze spowodowały u niej

nawrót choroby zwanej bulimią (nieprzyjmowanie pokarmów - co w konsekwencji pozbawia organizm witamin i minerałów, powoduje niebezpieczne chudnięcie, a jeśli brak interwencji medycznej - śmierć).

Diana starała się, walczyła, dorównywała mężowi w obowiązkach etykietałnych, w pracach na rzecz innych, ale zawsze była przez męża niedoceniana - księżę Karol nigdy nie widział w osobie swojej żony partnerki, pragnął zawsze by pozostawała w cieniu, traktował ją jak rywalkę, sukcesy jej nierzadko przypisywał sobie.

Prasa również przyczyniła się do tego, że stosunki między małżonkami zamiast poprawiać stale pogarszały się, albowiem mass-media zwykle atakowały księżną Dianę, a to jeszcze bardziej rujnowało jej zdrowie. Niemniej jednak wrogiem nr 1 Diany była i jest kobieta, która odebrała jej męża i stworzyła w miejsce życia pełnego

Pryzmat • No 7 • 15. I. 93 • St 7
miejsca, albowiem sami zniszczymy kolebkę ludzi - naszą Matkę Ziemię (przypowiedź autorki artykułu). Co nam czas przyniesie - nie wiadomo - póki co Diana walczy o odzyskanie męża, walczy o monarchię dla synów, walczy sama z sobą o swoją prawdę, walka jest trudna ale księżna Diana nie poddaje się, a jej walka jest również (ja tak myślę) i naszą walką o to, by zachować wszelkie wartości człowieka zrodzonego na wzór i podobieństwo Boga.

W chwili obecnej można oczekiwać rozpadu, bądź tylko papierowego związku księcia Karola z Lady Dianą - księżną Walii, by mąż mógł zatrzymać koronę.

Marzenie o królewiczu z bajki i dożgonnym szczęściu - "żyli długo i szczęśliwie" w tym wypadku nie sprawdza się, albowiem marzenie to zbyt szybko przestoczyło się w ból i cierpienie.



miłości, sukcesów - koszmar.

Pomimo w miarę przyjaznych stosunków z królową matką - Elżbietą II rodzina królewska nie pomaga Dianie w jej zmaganiach w odzyskaniu męża, a dzieciom ojca.

Monarchia brytyjska chciałaby pozostać w sztywnych, zimnych ramach, z daleka od świata zewnętrznego.

Żona następcy tronu brytyjskiego, księcia Karola - księżna Walii Diana nie chce trzymać się na uboczu, chce być czynna, chce pomagać, pragnie, by wszystkie jej osiągnięcia były doceniane tak samo, jak ona starała się doceniać sukcesy męża, jak doceniła również i to, że jej szwager księżę Andrzej nie bacząc na utratę życia wziął udział w interwencji w konflikcie falklandzkim.

Księżna Diana żyje i najpewniej żyć będzie na zewnątrz. Podróżowała i będzie podróżować, będzie tam, gdzie jej zdaniem jest potrzebna, nie zapominała bowiem o tym, co powiedziała jej w Rzymie siostry Teresy, a którą odwiedziła w trakcie jej ciężkiej choroby: ... "żeby zrozumieć cierpienia innych trzeba samemu cierpieć"...

Ta wizyta księżnej Diany w Rzymie była dla protestanckiej rodziny królewskiej skandalem nr 1, a przecież przyszłością jedności wszystkich ludzi na świecie jest połączenie wszystkich religii, bez względu na imię ich Boga, wszakże jest jeden Bóg, a tylko ma wiele imion, i póki tego nie zrozumiemy nie będzie wśród nas miłości, jedności, pokoju i nie zachowamy dla siebie

Autor napisał w swej książce - " ... królowa i jej siostra Małgorzata były ostatnim pokoleniem odpornym na r z e c z y w i s t o ś ć ...", i to jest prawda. Nasze czasy nie pozwalają odciąć się od rzeczywistości!

Danuta Rajda

P.S. Morał, jaki nasunął mi się po przeczytaniu tej książki jest jeden.

Monarchia brytyjska u progu 21 wieku jest już taką zmarzliną, że ludzie z t.zw. wyższych sfer, którzy dostają się w monarchistyczne kręgi wychowani otwarci na życie i ból drugich - nie potrafią żyć tylko wyłącznie z etykietą na codzien, żyć czerpiąc korzyści z apanaży będąc otoczonymi zimnymi, z dala od świata i cierpienia drugich (maluczkich) figurami.

Wydaje mi się, że czas monarchistycznych "rządów", w tym wypadku w Wielkiej Brytanii dobiega końca. W ostatnich kilkudziesięciu latach rozpadło się wiele książęcych małżeństw, np:

1. małżeństwo księżniczki Małgorzaty - młodsza siostra królowej

2. małżeństwo księżniczki Anny, która ostatnio wyszła ponownie za mąż za adiutanta królowej

3. małżeństwo księcia Andrzeja z rudowłosą Fergi, przyjaciółką serdeczną Diany.

Zapewne ten przykład bardzo pomógł Dianie w decyzji rozwiedzenia się z mężem co wedle prasy angielskiej ma nastąpić lada dzień, a dzieci ma oddać jemu w opiekę.

Polski wkład w zwycięstwo w II Wojnie Światowej c.d.

Pierwsze rakiety V1 spadły na Londyn w dniu 10 czerwca czyniąc niezwykle spustoszenie ale było to już parę dni po inwazji na Francję.

Gdyby zaczęły padać w listopadzie 1943 roku ta inwazja nie mogłaby mieć miejsca.

• Złapany przez Niemców jesienią 1940 roku we Francji polski oficer, szef tamtejszej siatki polskiej wywiadowczej udał, że przeszedł na stronę Niemców.

Za ich pomocą przedostał się przez Hiszpanię do Anglii. Tam z wiedzą Anglików nadawał fałszywe informacje przez 26 miesięcy, które dezinformowały Niemców o wszystkich poczynaniach Sojuszników.

Jak wysoko cenili Niemcy "tą lipę" świadczy fakt, że jego meldunki trafiały w poł godziny po otrzymaniu do rąk samego Hitlera.

Miedzy innymi podał, że lądowanie w Normandii jest lądowaniem pozornym, a właściwe nastąpi gdzie indziej za parę dni potem. Podawał też fałszywe dane gdzie spadają poszczególne rakiety V1 i V2 i dlatego większość ich spadała na polach za Londynem.

• Najbardziej nsa Pómc położonym miejscem gdzie Polacy walczyli była miejscowość Narwik w Norwegii, gdzie Polaska Brygada Podchalańska walczyła w ramach Angielsko-Francuskiego Korpusu Espedycyjnego. U wybrzeży Norwegii odbyły się też walki morskie gdzie brały udział okręty Polskiej Marynarki Wojennej.

Gdy niemieckiej marynarce - Krigs Marine - zabrakło paliwa zwrócili się o pomoc do... Stalina, który z Murmańska wysłał im tankowiec. "Niestety" lotnictwo brytyjskie go wymacało i nim mógł dostarczyć ropę Niemcom został zatopiony.

• Całą wojnę Polacy codziennie podawali Anglikom dane o pogodzie w Polsce. To umożliwiał im odczytywanie stanu pogody w Niemczech i dawało dane potrzebne do bombardowań tego kraju.

Od początku 1941 roku wywiad AK informował Londyn o przesunięciu niemieckich wojsk z Niemiec nad Bug co wskazywało na przygotowanie do agresji. W maju informowano o przesunięciu wojsk zmechanizowanych w tym kierunku co świadczyło o ostatniej fazie przez inwazją. Te informacje Anglicy przekazali Ambasadzie Swoieckiej ale Stalin je zlekcewarzył.

• W czasie okupacji na potrzeby Armii Krajowej, której liczebność, poza siatkami konspiracyjnymi obicza się na ponad 275 000 rozpoczęto wytwarzać kopie angielskich pistoletów maszynowych Sten.

Dla zmylenia Niemców kopie były absolutnie wierne i do końca wojny nie

wiedzieli oni, że to nie rzutowe angielskie pistolety.

• W powietrznej Bitwie o Anglię w czerwcu-lipcu 1940 roku piloci polskiego dywizjonu 303 zestrzelili ponad 10 % samolotów niemieckich. Gdyby ich zabrakło to bitwa ta byłaby prawdopodobnie przegrana i Niemcy mogliby dokonać lądowania w Anglii.

• Zmarły parę lat temu w Kanadzie Tadeusz Romer, Ambasador Polski przy Rządzie Sowieckim w latach 1942-43 opowiadał mi, że z polecenia Rządu RP na Uchodźstwo poinformował Stalina, że Armia Krajowa jest w stanie przeciąć na wniosek Sowietów, kiedykolwiek tego zechcą na 24 godziny wszystkie połączenia kolejowe Niemiec z frontem. Sowietci z tej oferty nie skorzystali.

• II Korpus gen Andersa zdobył ufortyfikowane wzgórza w koło góry Monte Casino.

Poprzednio przypuszczono tam trzy nieudane ataki, atakowali Amerykanie, Francuzi i Brytyjczycy głównie siłami dywizji hinduskich. Wszyscy ponieśli bardzo wysokie straty i nie zdobyli tych wzgórz blokujących drogę do Rzymu. Potem Polacy w nagrodę za to zwycięstwo pierwsi wkroczyli do Rzymu. W walce o Monte Casino brało udział 600 Białorusinów i 258 Ukraińców przyczem 8 Ukraińców znanych z imienia i nazwiska zdezerterowało na stronę wroga, ale nie zrobił tego ani jeden Białorusin.

Po wojnie zbudowano wielki cmentarz pod Monte Casino, gdzie leży około 2 000 padłych tak żołnierzy, w tym też zmarły wiele lat potem gen Władysław Anders i biskup polowy WP Gawlina. Na wszystkich grobach są zaznaczone wyznania poległych. Poza krzyżami katolickimi jest sporo krzyży prawosławnych i Gwiazd Dawida, oznaki obywateli polskich wyznania mojżeszowego.

W szeregach obrońców Monte Casino było wielu Polaków siłą wcielonych do Wermachtu, którzy poddali się i potem zasilili Armię gen Andersa.

• Szereg polskich konstrukcji było najlepszych na świecie. Do nich zaliczano też bombowce Sum, Szczególnie dobra była mała armatka przeciwpancerna 35mm. Jeden z jej egzemplarzy został w 1939 roku zachowany w jakiejś stodole, na Podkarpaciu.

Była tak cenna, że Anglicy polecili polskiemu wywiadowi ją wydostać z okupowanej Polski i poprzez Węgry trafiła ona do Angli gdzie została skopiowana.

W operacji tej główną rolę odegrała Polka, Krystyna Skarbek, która w czasie wojny pracowała dla wywiadu brytyjskiego między innymi też we Francji.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze.

Proszę mi wybaczyć, ale spotkawszy dziś w kiosku Pański "Pryzmat" z herbem trzech bratnich sąsiednich narodów, że jest to "pismo polskie, nie tylko dla Polaków" wziąłem gazetę, przeczytałem ją od deski do deski i zrozumiałem, że jest czego już dawno szukać.

Postanowiłem prosić o możliwą znajomość i możliwość od czasu do czasu drukować to oczym ludzie wyrosli z potomków muszą wiedzieć i co przed nimi starannie wszystkimi siłami skrywa się, a oni są dezorientowani, nie wiedzą rękami jakich wandalów są rozruszane ich świątynie, domy, kto prześladował i gnębił uch ojców i dziadów.

W Pińsku mieszkam od 1920 roku, tu się uczyłem, poszedłem do wojska. Jestem uczestnikiem wojny 1939 roku. Mieszkam tu przy bolszewickiej i hitlerowskiej okupacji, powojenny okres. Dużo, ogromnie dużo widziałem, przeżyłem, pamiętam. Jest to Ojczyzna Kościuszki i jego Racławickich Kosynierów, Romualda Trauguta, Pińskiej Szlachty założonej tu w czasach 40-letnich rządów Królowej Bony.

• Pryzmat • No 7 • St 8 •

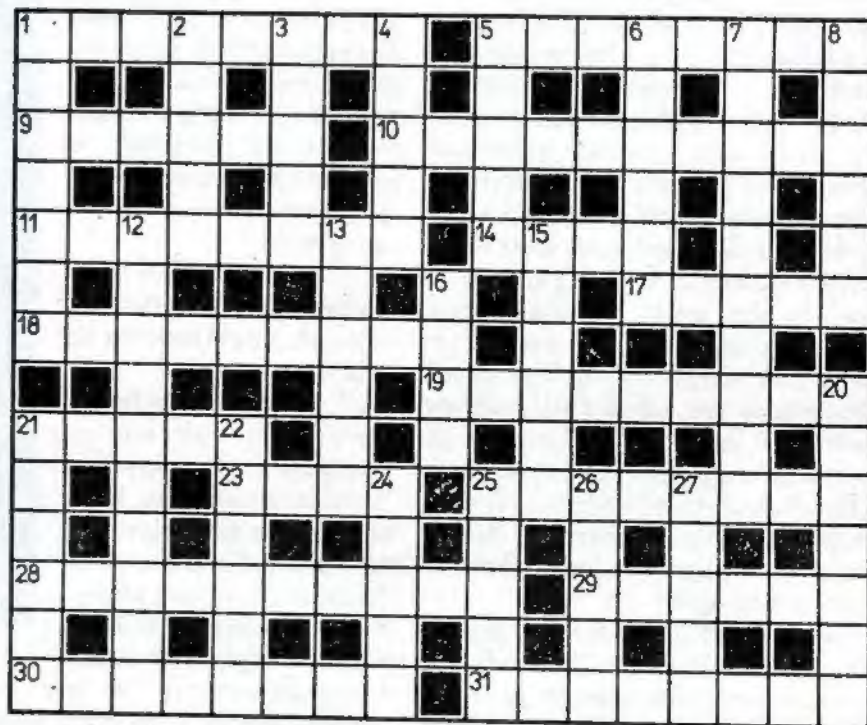
Pińskie Polesie, gdzie Pińsk jest jego stolicą, cześć i c hwała pamięci o Królowej Bonie.

Chcemy utworzyć Koło Potomków Pińskiej Szlachty, która to roku 1937 stanowiła na Ziemi Pińskiej, w powiatach: piński, luniniecki, i stoliński około 35 000 ludności, zamieszkujących około 170 wsi i osad. Najstarsze wsie szlacheckie, z nad Stachodu, Piny i Prypeci jeszcze trzymają się starych szlacheckich tradycji. Mam nadzieję, że nasza współpraca da gazecie duży bogaty materiał dla czytelników na Białorusi.

Muszę także powiedzieć, że w Polsce jest też bardzo wielu Poleszuchów, Pinczan i przedstawicieli Pińskiej Szlachty, a w jej szeregach znaczy się sto czternaście nazwisk, są nawet w dalekiej Australii.

Szanowny Redaktorze. Bardzo żałuję, że nie mam możliwości pojechać do Mińska. Moje 75 lat i trochę szwankujące zdrowie na to nie pozwala, ośmielam się jednak spodziewać, że jakieś okoliczności nam jednak Pana przywiodą, różne są możliwości głównego redaktora, a między Pińskiem, a Mińskiem są przecież pociągi.

Mikołaj Poluchowicz - Pińsk



KONSERWA NIEZDROWO UTYLĄ

Poziomo:

- 1) być nim u stóp uko-
- chanejl
- 5) miasto twardych wło-
- sów.
- 9) swawola, które wy-
- czynnia pachole.
- 10) zrobiły ręce i nic wię-
- cej.
- 11) stuprocentowe.
- 14) woda jak OB.
- 17) dziewczyna w mali-
- nach.
- 18) baba z piekła rodem.
- 19) ułatwia czytanie, gdy
- długie zdanie.
- 21) rozwodowy.
- 23) przy kominku grzeje
- dłonie.

25) sam zrobi melona.

- 28) jeszcze raz.
- 29) konserwa niezdrowo
- utyla.
- 30) przypomina o czyta-
- niu.
- 31) jeden tubelski, dwa
- poznańskie.

Pionowo:

- 1) na ciasto.
- 2) pasuje do towarzy-
- stwa Ady, Anny i Ot-
- tona.
- 3) do rodziny Jaś przyby-
- wa, a tu ...
- 4) wysiadają w mieszka-
- niu.
- 5) mleczne lub wodne.
- 6) zanudzi ludzi.

7) uszlachetnia, ale nie

spodziewaj się szla-

chectwa.

8) od jaj.

12) małżeństwo kropki

z kreską.

13) tomik w dobrobycie.

15) zgrana.

16) drania — do posmaro-

wania.

20) kolejny na karku.

21) jagody do zupy.

22) wesola.

24) więcej 26.

25) malowanie na ścianie.

26) mówią nań, że drań.

27) idzie od okna.

Nr 2

Stanisław

Bisko

••• Bomis •••

Elektronika,
komputery

używane podzespoły i
części komputerowe

• Warszawa - Praga •
Białostocka 5

Pryzmat

Polsko-Białoruski
pismo prywatne

Alexandra Pruszyńskiego

nakład 990 - korespondenci:

St Dąbrowski - Buffalo USA, J. Osuchowski Nowy Jork

Krzysztof Biernacki - Warszawa, T Konarski - Kraków

adres redakcji:

Mińsk 22 00 12- skrytka pocztowa nr 125

złożono i wydrukowano w Mińsku na Białorusi

Printed in Minsk- Republic of Byelorussia